

Raport W

AUSCHWITZ III (BUNA)
MONOWICE, POLAND
14 JANUARY 1945



WITOLD PILECKI

Raport W

W dniach 14, 15 i 16 września 1939 r. na rozkaz gen. Piekarskiego przez mjr. Mandzenko zorganizowałem we Włodawie oddział konny — 185 koni i pieszy — ponad 160 ludzi. Dnia 16 września przyjechał do Włodawy oficer tej samej co ja brygady, starszy stopniem i mój przyjaciel mjr Jan Włodarkiewicz¹, któremu ustąpiłem dowództwa nad oddziałem.

Z oddziałem tym trwaliśmy „konno i zbrojno w różnych terminach”² do dnia 17 października 1939 r., a historię tegoż upamiętnili już moi młodszy koledzy.

Oddział ten był zaczątkiem organizacji Tajna Armia Polska (TAP), którą założyliśmy w Warszawie w pierwszej połowie listopada 1939 r.

W Warszawie pracowałem jako szef sztabu TAP-u (*nom de guerre*³ „Witold”). Dążyłem do wcielenia TAP-u do ZWZ-u⁴. Miałem z tym trudności. Rozbieżność zdań (świadczenie żyjący: Janina Pieńkowska⁵, Stefan Bielecki⁶ i mjr Zygmunt Bończa-Bohdanowski⁷). Decyzja dnia 19 września 1940 r. (świadek Eleonora Ostrowska⁸).

W trzecią rocznicę istnienia obozu w Oświęcimiu — raport o pracy tych, którzy w lwiej części — przez drogę udręczeń w tym piekle przeszli jeszcze lufę komina krema-

¹Włodarkiewicz, Jan (1900–1942) — podpułkownik kawalerii Wojska Polskiego, komendant TAP, jeden z założycieli Frontu Odrodzenia Polski, pierwszy komendant organizacji dywersyjnej „Wachlarz”. W czasie kampanii wrześniowej 1939 miał za zadanie tworzyć rezerwowe oddziały kawalerii, został przydzielony do Ośrodka Zapasowego Kawalerii w Garwolinie i 15 września sformował we Włodawie improwizowany szwadron kawalerii. Walczył w szeregach Armii „Lublin”, w 41 Rezerwowej Dywizji Piechoty, gdzie dowodził sformowanym z rozbitków kawalerskim oddziałem rozpoznawczym. 15 października w okolicy Mrozów k. Warszawy rozwiął oddział. W listopadzie 1939 założył, wspólnie z Witoldem Pileckim, organizację konspiracyjną Tajna Armia Polska, w której był komendantem (pseud. Darwicz, Jan, Odważny), a która wraz z innymi w 1940 weszła w skład Konfederacji Narodu. W Konfederacji Narodu Włodarkiewicz dowodził pionem wojskowym, tj. tzw. Konfederacją Zbrojną (TAP weszła w jej skład). Latem 1941 r. Włodarkiewicz, jako współtwórca koncepcji „Wachlarza”, został mianowany przez gen. Roweckiego „Grota” jego komendantem. We wrześniu 1941 podporządkował się, wraz z większością członków Konfederacji Zbrojnej, Związku Walki Zbrojnej. Od jesieni 1941 poświęcił się pracy przy organizacji „Wachlarza”, do którego włączył część współpracowników z TAP. Zmarł nagle, w niewyjaśnionych dotychczas okolicznościach 18/19 marca 1942 r. we Lwowie przeprowadzając inspekcję I Odcinka „Wachlarza”. [przypis edytorski]

²konno i zbrojno w różnych terminach — nawiązanie do stylu narracyjnego trylogii Sienkiewicza; *terminy* (daw.): kłopoty, wyzwania, przeciwności losu. [przypis edytorski]

³*nom de guerre* (fr.) — pseudonim czasu wojny. [przypis edytorski]

⁴ZWZ — Związek Walki Zbrojnej; siły zbrojne na terenie Polski podczas II wojny światowej, od 13 listopada 1939 do 14 lutego 1942, podporządkowane rządowi londyńskiemu (komendantem komendy głównej był gen. Stefan Rowecki „Grot”); następnie przemianowane na Armię Krajową. [przypis edytorski]

⁵Pieńkowska, Janina, właśc. Janina Dal Trozzo-Pieńkowska — pseud. „Janina”, „Teresa”; kierowała Sekretariatem Głównym TAP, uratowała całe archiwum TAP, które po wojnie trafiło do archiwum AK (dziś w Archiwum Akt Nowych). [przypis edytorski]

⁶Bielecki, Stefan Bartłomiej (1908–1944) — ps. „Druh”, „Witold Ostrowski”, „Czesław”; absolwent Wydziału Inżynierii Wodnej Politechniki Warszawskiej, inżynier hydrotechnik, właściciel firmy budowlanej; uczestnik kampanii wrześniowej, oficer Sztabu Głównego Tajnej Armii Polskiej; aresztowany we wrześniu 1940, 5 kwietnia 1941 wywieziony do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, skąd zbiegł 16 maja 1942 r.; zaangażowany w organizację organizacji dywersyjnej „Wachlarz”, od 1942 r. działał w kontrwywiadzie w Oddziale II Komendy Głównej Armii Krajowej; uczestnik powstania warszawskiego, ranny 2 sierpnia, zm. 5 września 1944 r. [przypis edytorski]

⁷Bohdanowski, Zygmunt (1893–1943) — pseud. „Bohdan”, „Bończa”; ur. w Dyneburgu absolwent Korpusu Kadetów w Kijowie, student Politechniki w Rydze, od 1818 r. w Wojsku Polskim, gdzie dosłużył się stopnia majora artylerii WP; więzień KL Auschwitz, rozstrzelany tamże 11 października 1943 r.; kawaler Orderu Virtuti Militari. [przypis edytorski]

⁸Ostrowska, Eleonora (ur. 1909) — pseud. „Ryta”, „Nora”; łączniczka TAP i ZWZ/AK, uczestniczka Powstania Warszawskiego; szwagierka Witolda Pileckiego. [przypis edytorski]

torium, zamieniając się, zgodnie z naszym określeniem, w „dymki”, „obłoczki”, „mgielki”.

MIEJSCE POBYTU WYMIENIONYCH W RAPORCIE PRACOWNIKÓW ORGANIZACJI WOJSKOWEJ W OŚWIĘCIMIU (STAN W CHWILI OPUSZCZENIA PRZEZE MNIE OBOZU).

Zamordowany podczas badania: plut. Bolesław Kupiec (nr obozowy 792).

Rozstrzelani: Eugeniusz Obojski (nr 194), płk Aleksander Stawarz (nr 11513), ppłk Karol Kumuniecki (nr 8361), por. Tadeusz Biliński (nr 830), por. Włodzimierz Makaliński (TAP, nr 12710), ppor. rez. Stanisław Gutkiewicz (nr 11003), Stanisław Stawiszyński (TAP, nr 13689), ppor. rez. Tadeusz Lech (nr 9235), płk Jan Karcz (nr 23569), pdch. rez. Zbigniew Ruszczyński (nr 1360), por. St. Dobrowolski (nr.....), Leon Kukielka (nr 16465), Stanisław Dubois (nr 3904), mjr Edward Gött-Getyński (nr 29693), por. rez. Eugeniusz Zaturski (TAP, nr 31387), rtm. Włodzimierz Koliński (nr 3135), por. Mieczysław Koliński (nr 68844), kpt. Tadeusz Dziedzic (nr 16246), kpt. dr Henryk Suchnicki (nr 19456), pdch. rez. Aleksander Jaskierski (nr 2450), kprnicki (TAP, nr. ...)⁹, kpt. Tadeusz Chróścicki — ojciec (TAP, nr 13484), Tadeusz Lucjan Chróścicki¹⁰ — syn (TAP, nr 16655), Antoni Suchecki (nr 595), ppor. rez. Stanisław Wierzbicki (TAP, nr 3558), Stefan Niebudek (nr 18531), Stanisław Arct (nr 12654), Roman Radoliński (nr 13471), st. ułan Stefan Stępień (nr 12970), plut. Edward Berlin (nr 19490).

*Wykończeni zastrzykami*¹¹: marynarz Lolek Kupiec (Karol Kupiec nr 794), Zygmunt Masewicz (nr 1394), Alfred Stössel (nr 435).

*Zmarli (zabici na placu*¹² *lub z powodu warunków i chorób panujących w obozie):* rtm. rez. Jerzy de Virion (w obozie Jan Hlebowicz, TAP, nr 3507), Roman Zagner (nr. ...), kpt. Michał Romanowicz (nr. ...), kpt. Eugeniusz Triebing (nr 6995), Eugeniusz Dulin (nr 31007), Teofil Banasiuk (nr 1698), Jan Hrebenda (nr 3665), Jan Mielcarek (nr 3569), pdch. rez. Remigiusz Niewiarowski (TAP, nr 13957), mjr Wacław Chmielewski (TAP, nr 37995), Tadeusz Dobrowolski (TAP, nr. ...), Jerzy Wierusz-Kowalski, ojciec (TAP, nr 31356), plut. Stanisław Kotarski (nr. ...), plut. Józef Chramiec (nr 101), Stefan Gaik (nr. ...), st. sierż. Zygmunt Jaworski (TAP, nr 18435), prof. Roman Rybarski (nr 18599), Kazimierz Rogalewicz (nr 3473), Leśniewicz Bolesław (nr 21991), lub Stanisław (nr 14449), Czesław Sikora (nr 76159), Stanisław Polkowski (nr 6398), Teofil Staniszkis (nr 18624), pdch. rez. Jan Wysocki (TAP, nr 13436), Alojzy Fusek (nr. ...), Józef Gałka (nr 10611), rtm. Tadeusz Czechowski (nr 18369), Witold Myszkowski (nr 2606), Andrzej Mardula (nr 18855),

Zwolnieni przez władze lagru: Aleksander Wielopolski (nr. ...), kpr. Czesław Wąsowski (nr 5298), ppor. rez. Tadeusz Burski (nr. ...), pdch. Krzysztof Hoffman (nr 2738), dr Marian Dipont (nr 2186),

*Zwolnieni przez władze — pojechali z meldunkiem do Organizacji*¹³: płk. Władysław Surmacki (TAP, nr 2795), kpt. Ferdynand Trojnicki (nr 5145), sierż. Antoni Woźniak (nr 5512), por. rez. Karol Świętorzecki (nr 5360), Aleksander Paliński (nr 8253),

Wywiezieni jako chory do Dachau (zorganizowane): Jan Dangel (TAP, nr 13486).

Wywiezieni transportami do innych lagrów: ppor. rez. Mikołaj Skornowicz (nr. ...), Tadeusz Słowiacek (nr 1069), plut. Władysław Kupiec (nr 793), płk Tadeusz Reklewski (nr 6471), ppor. Konstanty Piekarski (nr 4618), płk Jerzy Zalewski (nr 21514), pdch. rez. Zbigniew Różak (nr 6609), pdch. rez. Zygmunt Wanicki (nr 2199), Wiktor Śniegucki (nr 6274), Tadeusz Pietrzykowski „Teddy” (nr 77), kpt. Julian „Trzęsimiech” (nr. ...), Stanisław

⁹kprnicki (TAP, nr. ...) — nazwisko w „kluczu” częściowo nieczytelne A. C. [przypis redakcyjny]

¹⁰Chróścicki, Tadeusz Lucjan; syn — ur. w 1919 r. w Makarowcach; w KL Auschwitz od 28 maja 1941, numer więzienny 16655, przydzielony do karnej kompanii; brał wraz z ojcem udział w buncie karnej kompanii w dniu 10 czerwca 1942 r., zorganizowanym przez konspiracyjną siatkę Pileckiego; ojciec jego został rozstrzelany, syn uciekł z obozu tegoż dnia, wraz z Augustem Kowalczykiem (późn. aktorem); doczekał wyzwolenia. [przypis edytorski]

¹¹wykończeni zastrzykami — jednym ze sposobów zabijania więźniów w KL Auschwitz było wykonywanie dosercowych zastrzyków z fenolu, zw. przez więźniów „szprycą”. [przypis edytorski]

¹²zabici na placu — tj. podczas pracy oraz w trakcie apelu. [przypis edytorski]

¹³pojechali z meldunkiem do Organizacji — meldunki Organizacji Wojskowej z obozu w Oświęcimiu były przekazywane do Komendy Głównej ZWZ/AK w Warszawie. [przypis edytorski]

Ozimek (TAP, nr ...), Henryk Kowalczyk (nr 64276), Leszek Cenzartowicz (nr 870), ppor. rez. Jerzy Wiśniewski (nr 31361), ppor. rez. Lech (nr ...), ks. Zygmunt Ruszczak (nr 9842), Wacław Kafarowski (nr 12079), Czesław Darkowski (TAP, nr 8121), Lolek Słowiacek (nr 1054), wachm. Jan Miksa (nr ...), Edward Nowak (nr 447), ppor. rez. Władysław Rapa (nr 30901), Aleksander Bugajski (nr 74503), Kazimierz Radwański (nr 16788), dr Zygmunt Zakrzewski (TAP, nr 39249), Tadeusz Kowalski (nr ...), Józef Putek (nr 267), Michał Szarzyński (nr 82795), Olek sztubowy na 6 bloku (nr ...), Wawrzyński (TAP, nr ...),

Rozmyślnie umieścili się w transporcie celem dokonania ucieczki w drodze: płk. Kazimierz Rawicz (w obozie Jan Hilckner nr 9319), pdch Witold Szymkowiak (nr 938), przez którego przesyłam meldunek.

Zastrzeleni podczas dokonywania ucieczki: plut. Stanisław Maringe (TAP, nr 12691), por. rez. Jerzy Poraziński (TAP, nr ...),

Wyszli z obozu za pomocą ucieczki zorganizowanej z meldunkiem do Organizacji: Wincenty Gawron (nr 11237), Stefan Bielecki (TAP, nr 12692), pdch. Mieczysław Januszewski (nr 711), Stanisław Jaster (nr 6438), ppor. rez. Jan Redzej (w obozie Jan Retko, nr 5430), Edward Ciesielski (nr 12969) oraz moja osoba Witold Pilecki (TAP, nr 4859)¹⁴.

Trwali jeszcze w obozie: kpt. dr Władysław Dering (TAP, nr 1723), pdch. rez. Antoni Rosa (nr 923), pdch. Michał Ziółkowski (nr 1055), plut. Tadeusz Szydlik (nr 2198), płk Teofil Dziama (nr 13578), ppor. rez. Jan Olszowski (nr 6157), ppor. rez. Jan Pilecki (nr 808), Henryk Bartosiewicz (nr 9406), kpt. Stanisław Kazuba (nr 1630), ppor. rez. Bernard Świerczyna (nr 1393), pdch. rez. Mieczysław Wągner (nr 5831), mjr Zygmunt Bończa-Bohdanowski (TAP, nr 30959), pdch. rez. Zygmunt Bujanowski (nr ...), Zygmunt Kotecki (nr ...), Jan Zięmba (nr 66), Zygmunt Sobolewski (nr 88), Antoni Trzaskowski (nr 13321), płk Juliusz Gilewicz (nr 31033), kpt. Tadeusz Lisowski (nr 329), Motyka (nr ...), Alfred Włodarczyk (nr 1349), Witold Kosztowny (nr 672), dr Rudolf Diem (nr 10022), por. rez. Marian Moniczewski (nr 18859), ppor. rez. Leon Murzyn (nr 820), ppor. Witold Wierusz (nr 9479), ppor. rez. Edmund Zabawski (nr 19547), Jan Machnowski (nr 724), pdch. rez. Zbigniew Goszczyński (nr 1728), Zdzisław Uliasz (nr 12988), „Alojz” z *Bekleidungskammer* (nr ...), Andrzej Gąsienica (nr 5654), Roman Frankiewicz (nr 9430), Tadeusz Jakubowski (nr 2541), wachm. Stefan Gąsiorowski (nr 9201), Wacław Weszke (nr 9530), Stanisław Kożuch (nr 325), st. sierż. Szczepan Rzczkowski (TAP, nr 13600), Jerzy Wierusz-Kowalski (TAP, nr 31357, syn), plut. Antoni Koszczyński (nr 4075), kpt. Michał Więcki (nr 1036), por. „Włodek Owczarz” (nr ...), sierż. Władysław Kielczyk (nr 4266), maryn. Aleksander Kasper (nr 3894), kpt. Janusz Goślinowski (nr 8252), Konstanty Jagiełło (nr 4507), kpt. Stanisław Machowski (nr 78056), „Czesiek” (prawdopodobnie Czesław Sowul, nr 167), „Tadek” (nr ...), Tadeusz Stulgiński (TAP, nr 31315), Henryk Szklarz (nr 1132), Edward Sikorski (nr 25419), Józef Gralla (nr 25249), dr Władysław Tondos (nr 18871), Jan Mosdorf (nr 8230), Marian Toliński (nr 49), Władysław Fejkiel (nr 5647), Stanisław Głowa (nr 20017), pdch. rez. Tadek, sekretarz bloku 22a (nr ...), Mały Zygmunt z laboratorium (nr ...), Ignacy Wołkowicz (nr 7143), Ryszard Wiśniewski (nr 9580), Zdzisław Ryndak (nr 10746), Andrzej Rablin (nr 1410), pdch. Leon Mackiewicz (nr 3618), płk. Kazimierz Stamirowski (nr 86786), Karol Karp (nr 626), Ficek i Tadek — grabarze (nr ...), dr Bolesław Świdorski (nr 952), Edward Kowalski (nr 1701), Witold Kupczyński (nr 3829), Roman Kostrzewski (nr 4612), Stanisław Kocjan (nr 11544), Jerzy Żarnowiecki (nr 616), Tadeusz Myszowski (nr 593), Stanisław Wołak (nr 1058), Maksymilian Piłat (nr 5131), pdch. rez. Witold Wysocki z Wilna (nr ...), pdch. Jurek — elektryk (nr ...), Stefan Dziurkacz (nr ...), Stefan — kolega Heńka B. (nr ...).

¹⁴Jan Redzej (w obozie Jan Retko, nr 5430), Edward Ciesielski (nr 12969) oraz moja osoba Witold Pilecki (TAP, nr 4859) — w ucieczce 27 kwietnia 1943 roku towarzyszyli Pileckiemu dwaj inni członkowie organizacji (Związek Organizacji Wojskowej): Jan Redzej (1904–1944), z zawodu nauczyciel, uczestnik kampanii wrześniowej, poległ w Powstaniu Warszawskim 3 sierpnia 1944 r. oraz Edward Ciesielski (1922–1962), aresztowany w Szydłowcu za działalność konspiracyjną (organizowanie punktów nasłuchu radiowego), trafił do więzienia w Radomiu, a następnie, w kwietniu 1941 roku do KL Auschwitz, brał udział w Powstaniu Warszawskim, ciężko ranny uciekł z transportu, walczył na Kielecczyźnie w Batalionach Chłopskich w oddziale Jana Sońty pseud. „Ośka”, po wojnie więziony we Wronkach, w Rawiczu i Sztumie w latach 1946–1954, pośmiertnie wydano jego wspomnienia oświęcimskie. [przypis edytorski]

CZERWIEC 1943 R.

Poniższe napisane jest dla upamiętnienia faktów i nazwisk więźniów w Oświęcimiu, pracujących tam w Organizacji Wojskowej — po udanym, a samowolnym opuszczeniu obozu w nocy z dnia 26 na 27 kwietnia 1943 r. i po 31-miesięcznym tam pobycie, gdzie od początku lagru do marca 1943 r. rozstrzelano 11200 więźniów, zagazowano około 34 tysięcy, zmarło — zabitych na placu, od chorób i innych warunków — około 41 tysięcy, wywieziono (do marca 1943 r.) do innych obozów około 6 tysięcy, wywieziono i zwolniono 1115 więźniów. W marcu 1943 r. żyjących w obozie było około 29 tysięcy, a numer bieżący wynosił ponad 121 tysięcy¹⁵. Wyżej wymienione liczby stosują się do „haftlingów” — po przywiezieniu normalnie zaewidencjonowanych i oznaczonych kolejnym numerem więźnia. Natomiast nie obejmuje to ogromnej ilości ludzi przywiezionych tu w celu natychmiastowego odebrania im życia, co odbywało się w odległości paru kilometrów od obozu — w Brzezince — w pobliżu filii Oświęcimia — obozu w Rajsku¹⁶, gdzie gazowano całe transporty ludzi, dostarczane tu pociągami i autami — czasami po parę tysięcy dziennie, a liczba których obliczona w cyfrach okrągłych w sierpniu 1942 r. przekraczała 800 tysięcy ludzi, a w marcu 1943 r. sięgała ponad półtora miliona ludzi. Przeważali Żydzi, lecz byli również Czesi, Niemcy i inni¹⁷. Specjalnie jednak bolało nas, gdy w ogromnych stosach ubrań i rzeczy, należących do zagazowanych, znajdowaliśmy wśród małych buczków i wózków dzieciennych różańce i książeczki do nabożeństwa w języku polskim. W potwornej tej rzezi zginęła, między innymi, przewieziona tu ludność kilku wiosek lubelskich. Prócz tego w tymże czasie w obozie naszym i w filiach zabito w różny sposób 11400 jeńców wojennych-bolszewików.

Po przyjeździe w nocy z dnia 21 na 22 września 1940 r. do obozu w Oświęcimiu¹⁸ znalazłem się — tak jak zresztą wszyscy nowo przybywający do Oświęcimia — w warunkach, które uderzyły we wszystkie moje dotychczasowe pojęcia. W ciągu paru dni czułem się oszołomiony i jakby przerzucony na inną planetę.

Wpędzenie nas w nocy kolbami esesmanów za druty — na teren oświetlony reflektorami — przebiegamy przez niesamowicie roześmianych, wrzeszczących kapów porządkujących szeregi nasze drągami — mających zielone i czerwone łatki w miejscu, gdzie się wieszają orderzy¹⁹, wśród dzikich chichotów i żartów, dobijających chorych i słabych lub tego, kto miał nieostrożność powiedzieć, że był sędzią lub jest księdzem — zrobiło na mnie wrażenie, że zamknięto nas w zakładzie dla obłąkanych.

Po kilku pierwszych dniach, w których byłem świadkiem makabrycznych obrazków, a wobec których zupełnie zbladło piekło Dantego — czego tu, jak również i całego lagru w ciągu tych paru lat opisywać nie będę, gdyż zrobić to mają moi koledzy: „J” i „E”²⁰ — *wejrzałem w siebie...*

...Tu — z konieczności — muszę zrobić pewną dygresję.

Gdy po powrocie z lagru w opowiadaniu znajomym potrąciłem o ten moment, orzekli, że dla ludzi normalnych nie będzie to łatwe do zrozumienia. Że nie nazwę tych ludzi inaczej, to chyba tylko przez grzeczność (zrobię to zresztą trochę dalej), gdyż od dłuższego już szeregu lat mam dla pewnego rodzaju ludzi „normalnych” zupełnie inne określenia.

¹⁵W marcu 1943 r. żyjących w obozie było około 29 tysięcy, a numer bieżący wynosił ponad 121 tysięcy — liczby podawane przez autora są nieścisłe (z konieczności: jako informacje pochodzące z czasu wojny, oparte na obserwacjach własnych i relacjach współwięźniów), dają jednak pojęcie o ogromie zbrodni dokonanych w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu. W końcu marca liczba więźniów, którzy przeszli przez Auschwitz, była większa, sięgała ok. 150 tys. łącznie dla obozu kobiecego i męskiego oraz dodatkowo blisko 65 tys. w obozie dla Cyganów. [przypis edytorski]

¹⁶w Brzezince, w pobliżu filii Oświęcimia, obozu w Rajsku — z braku informacji obóz w Brzezince i obóz w Rajsku były często utożsamiane przez więźniów obozu głównego. [przypis edytorski]

¹⁷Przeważali Żydzi, lecz byli również Czesi, Niemcy i inni — w Brzezince w komorach gazowych ginęli wyłącznie Żydzi; nieścisła jest również podana liczba ofiar: w tym wypadku zawyżona. [przypis edytorski]

¹⁸Po przyjeździe w nocy z dnia 21 na 22 września 1940 r. do obozu w Oświęcimiu — Witold Pilecki trafił do Oświęcimia drugim transportem warszawskim więźniów z łapanki ulicznej; obejmował on 1705 osób, których jako więźniów KL Auschwitz oznaczono numerami od 3821 do 5526. [przypis edytorski]

¹⁹zielone i czerwone łatki w miejscu, gdzie się wieszają orderzy — w obozie oświęcimskim za pomocą różnych kolorów trójkątów naszywanych na ubiorach więźniennych (tzw. pasiakach, od wzoru pionowych pasów na materiale) oznaczano różne kategorie więźniów, np. czerwonym trójkątem więźniów politycznych, a zielonym więźniów określonych jako „zawodowi przestępcy kryminalni”. [przypis edytorski]

²⁰„J” i „E” — Jan Redzej i Edward Ciesielski. [przypis edytorski]

Żyjemy w czasie, który jedni nazywają zakończeniem jednej epoki i wejściem w drugą, inni mówią, że „jesteśmy na zakręcie...”, jeszcze inni — chcą dać ludzkości nowy ustrój i piszą dzieła. Wszyscy mądrzejsi zgadzają się na jedno, żeśmy — jak niegdyś scholastycy — straszliwie zabrnęli... Z tym wszystkim nurzamy się jeszcze w psychozie lęku (mam na myśli tych „normalnych”), by nie zrobić, powiedzieć coś wykraczającego poza ramy dla „przeciętniaków”, na co by się ci „normalni” zżymać zaczęli. A broń Boże być wyśmianym. Na przykład: widziałem takich, szczególnie mężczyzn, którzy niby są wierzący, a wstydzą się wyraźnie przeżegnać i robią coś w rodzaju namiastki znaku krzyża. Jest to doskonały przykład psychozy wstydu i lęku, żeby jakiś bałwan z tłumu — kolega — nie „podśmiał”. Raczej gnuśnieć w tłumie baranów, byle by się nie narazić na wytknięcie palcem jako człowiek niezrozumiały dla przeciętniaków. Wcale nie znaczy to, że chciałbym siebie ponad innych wynieść. Przeciwnie! Chciałbym wstrząsnąć każdym, żeby z tego dorosłego tylko do pewnego znormalizowanego poziomu — tłumu wystrzeliły, jeśli nie można wszędzie, to przynajmniej tu i ówdzie, pędy myśli, czynu — indywidualne, bez oglądania się na to, czy mu sąsiadujący w tłumie „baran” nie uderzy po głowie przez zwykłą zazdrość, pilnujący, by żaden z sąsiadów ponad tłum głową nie urósł, nie stał się większym. A przecie tylko tacy, wyrastający ponad normalnych przeciętniaków, mogą coś stworzyć, wejść i wprowadzić innych w nowe pojęcia, nowe roztoczyć widnokreśli.

Po tej dygresji, w której wyjaśniłem, że w żadnym wypadku nie rościłbym pretensji do zaliczenia mnie w poczet znormalizowanych członków tłumu, i nie chciałbym się dusić w ciasnych ramach normalnych ich pojęć, może będę już nieco zrozumiałszy z tym, co ujrzałem w sobie, a co zdecydowałem napisać, chociaż pierwotnie, po usłyszeniu od znajomych, że „jest to trudne do zrozumienia”, chciałem przemilczeć. Pominiecie jednak czegokolwiek mogłoby być powodem, że byłby niezrozumiały ciąg dalszy.

Oto znalazłem w sobie radość w momencie najmniej zdawałoby się dla takowej możliwym.

Stojąc w szeregach bloku „Krwawego Alojza” i widząc, jak naprzeciwko stojące szeregi karnej kompanii Krankenmann wyrównywał nożem, wbijając takowy w brzuch temu, kto się wysunął niepotrzebnie trochę naprzód, ze zdziwieniem pewnym stwierdziłem, że się nie mylę, iż znalazłem w sobie radość, wynikającą ze świadomości, że chcę walczyć, a więc kryzys parodniowy minął szczęśliwie oraz ze świadomości, że nareszcie — tęsknota od roku 1939 — tu zrozumieć może mnie przede wszystkim żołnierz — stoję w szeregach wyrównanych jak naciągnięte struny wśród ustawionych ramię w ramię wściekłych, zjednoczonych wspólnym celem i jedną myślą, zdecydowanych na wszystko Polaków, czyli w zespole doskonałym do pracy organizacyjnej.

To był zarodek siły, która kazała mi wierzyć i tworzyć. Podjąłem się więc pracy. Po paru tygodniach zorganizowałem pierwszy zawiązek Organizacji Wojskowej w Oświęcimiu wśród „Warszawiaków” i przesłałem w październiku 1940 r. pierwszą wiadomość do Warszawy za pośrednictwem kpt. Michała Romanowicza przez zwolnionego z lagru Aleksandra Wielopolskiego, pracującego w wywiadzie u Tęczyńskiego. Kierownictwo tej pierwszej „piątki górnej” (plk. Władysław Surmacki, kpt. dr Władysław Dering, rtm. rez. Jerzy de Virion, Eugeniusz Obojski i Roman Zagner) powierzyłem pułkownikowi Władysławowi Surmackiemu, którego znając od dawna, już w maju 1940 r. wciągnąłem w Warszawie do pracy w TAP na stanowisko szefa sztabu. W marcu 1941 r. zorganizowałem drugą „górną piątkę” (pdch. Witold Szymkowiak, pdch. Antoni Rosa, Tadeusz Słowiacek, ppor. rez. Mikołaj Skomowicz, Władysław Kupiec, Bolesław Kupiec, Tadeusz Pietrzykowski) wśród najstarszych numerów więźniów. W maju 1941 r. wśród kolegów z 4 i 5 transportu warszawskiego²⁸ trzecią „piątkę górną” (kpt. Eugeniusz Triebing, por. Włodzimierz Makaliński, por rez. Stanisław Gutkiewicz, Wincenty Gawron, Stanisław Stawiszyński), a w październiku 1941 r. czwartą „piątkę” (Henryk Bartosiewicz, kpt. Stanisław Kazuba, ppor. Konstanty Piekarski, Stefan Bielecki, ppor. rez. Tadeusz Lech), nigdy się nie trzymałem ślepo liczby pięciu.

Każda z tych „piątek” nie wiedziała nic o piątkach innych i sądząc, że jest jedynym szczytem Organizacji, rozwijała się samodzielnie, rozgałęziając się tak daleko, jak ją suma energii i zdolności jej członków, plus zdolności kolegów stojących na niższych szczeblach, a przez piątkę stale dobudowywanych, naprzód wypychały. Praca polegała na ratowaniu życia kolegów przez: zorganizowanie dożywienia, polecenia władzom bloków, opiece na

„Krankenbau” (w obozie szpital dla więźniów nosił nazwę *Häftlingskrankenbau A.C.*), organizowanie dostawy bielizny, urządzenie na lepszych posadach — stanowiskach, podtrzymywanie na duchu, kolportowanie wiadomości z zewnątrz, łączności z cywilną ludnością, przekazywanie wiadomości obozowych na zewnątrz, *powiązanie w jeden łańcuch energiczniejszych jednostek dla skoordynowanej akcji opanowania obozu w chwili, gdy takowa nadejdzie z zewnątrz, bądź to w formie rozkazu — bądź desantu.*

Tak — jak w celu większego bezpieczeństwa powziąłem myśl, by jedna piątka nic nie wiedziała o drugiej — tak również w tym celu omijałem *początkowo* ludzi „stojących na świecznikach”, którzy tu byli pod własnymi nazwiskami i jako pułkownicy, słabo zakonspirowani, robili już plany opanowania obozu. I tak w kwietniu 1941 r. koledzy coraz to częściej zaczęli przynosić wiadomości, że płk. Aleksander Stawarz i ppłk. Karol Kumuniecki są zdania, że należy opanować obóz, przy tym mniej więcej podawano terminy i ppłk Karol Kumuniecki poszedłby potem ze zdrowymi na Katowice, a płk Aleksander Stawarz z chorymi zostałby na miejscu. Ze względu na rozgłos i naiwność planowania na razie trzymałem się od tego z dala. Dnia 15 maja 1941 r. przesałem meldunek do Warszawy przez zwolnionego z lagru por. rez. Karola Świętorzeckiego²¹.

Tymczasem nasza Organizacja (słowo to było zakazane i używane tylko w znaczeniu zupełnie innym) rozwijała się dość szybko

A jednocześnie wielki młyn lagru wyrzucał wciąż trupy. Wielu kolegów ginęło, których stale trzeba było zastępować innymi. Wciąż trzeba było wszystko wiązać.

Wysyłałiśmy już na zewnątrz wiadomości, które były podawane przez radia zagraniczne. Władze lagru wściekały się — szukano, zrywając podłogi, szukano na strychach. Daleko rozgałęzione już poszczególne „piątki górne” zaczęły w terenie wzajemnie się „domacywać”, meldując mi o „namacanej” rzekomo innej jakiejś organizacji (inna piątka). W listopadzie 1941 r. wysłałem do Warszawy przez zwolnionego z lagru kpt. Ferdynanda Trojnickiego²² meldunek. Jednocześnie pisałem w listach do rodziny (okólną drogą), by mnie nie starano się z lagru wykupić, co mogłoby się zdarzyć, gdyż nie miałem żadnej sprawy, a hazardowała mnie gra i oczekiwana w przyszłości rozgrywka na miejscu.

W grudniu 1941 r. przesałem meldunek przez płk. Władysława Surmackiego²³, zwolnionego do Warszawy, w marcu 1942 r. przez sierż. Antoniego Woźniaka²⁴.

W jesieni 1941 r. przywiezieni zostali do obozu płk Jan Karcz i ppłk Jerzy Zalewski. Zaproponowałem wejście do Organizacji pułkownikowi Janowi Karczowi — na co ten się zgodził. Po paru miesiącach płk Jan Karcz został wzięty do bunkra i dręczony. Ponieważ nic nie zeznał, został zwolniony z bunkra i przeniesiony do filii Oświęcimia, pobliskiej Brzezinki, gdzie podjął się pracy na rzecz naszej Organizacji.

Jak wspominałem, przez ostrożność, w pracy organizacyjnej starałem się *na razie* unikać oficerów wyższych stopni, którzy tu byli pod własnymi nazwiskami, lecz żeby nie było to mylnie tłumaczone rzekomą moją wygórowaną ambicją, zdecydowałem się podporządkować wyszperanemu przez mego przyjaciela Henryka Bartosiewicza, pułkownikowi Kazimierzowi Rawiczowi, który tu był pod przybranym nazwiskiem i uchodził za stuprocentowego cywila. Płk Kazimierz Rawicz wszedł do naszej Organizacji, uzgodniliśmy z nim plan pracy i pracowaliśmy w dalszym ciągu.

Wtedy zorganizowałem piątą „piątkę górną” (ppor. rez. Bernard Świerczyna, pdch. rez. Zbigniew Ruszczański, pdch. rez. Mieczysław Wągner, pdch. rez. Zbigniew Różak, plut. Tadeusz Szydlik).

W marcu 1942 r. przyjechał do lagru znany mi od szeregu lat mjr Zygmunt Bończa-Bohdanowski, którego niegdyś w Warszawie wciągnąłem na dowódcę bojowego miasta Warszawa w TAP, a obecnie na dowódcę bojowego zorganizowanych sił w lagrze.

W styczniu 1942 r. wysłałem do Warszawy pomniejsze wiadomości przez kolegę Aleksandra Palińskiego²⁵.

²¹Karol Świętorzecki — Żyje. Bywa w Warszawie. Pracuje. [przypis autorski]

²²Ferdynand Trojnicki — Żyje. Jest w Warszawie. Pracuje. [przypis autorski]

²³Władysław Surmacki — Następnego dnia po przyjeździe do Warszawy został powtórnie aresztowany i rozstrzelany na Pawiaku. Zdążył parę słów zaledwie o pracy naszej powiedzieć swej Małżonce. [przypis autorski]

²⁴Antoni Woźniak — Żyje. Jest w Warszawie. Pracuje. [przypis autorski]

²⁵Aleksandra Palińskiego — Jest w Warszawie. Pracuje w P. Z. P. [przypis autorski]

W 1941 r. stosowano w lagrze odpowiedzialność dziesięciokrotną, to znaczy za jednego zbiegłego więźnia rozstrzelano dziesięciu, *toteż nie organizowaliśmy ucieczek*. W początku roku 1942 nadszedł zakaz tego z Berlina, więc zaczęliśmy przygotowywać ucieczkę i w maju 1942 r. przesłałem meldunek do Warszawy przez kolegę Stefana Bieleckiego²⁶, który razem z kolegą Wincentym Gawronem ucieczkę doprowadzili szczęśliwie do skutku i *żadnych represji z tego powodu w obozie nie było*.

W czerwcu rozstrzelano specjalnie blisko mnie w pracy stojącego, nieodżałowanego i dzielnego z wojny 1939 r. por. 13 pułku ułanów Włodzimierza Makalińskiego.

Rozstrzelano wtedy również przeszło 80 Ślązaków, między innymi członka Organizacji ppor. rez. Stanisława Gutkiewicza. Po egzekucji 11 listopada 1941 r., kiedy zginął dzielny ppor. rez. Tadeusz Lech, była to pierwsza większa „rozwałka”.

Staraniem Henryka Bartosiewicza doszło do porozumienia z płk. Aleksandrem Starwarzem, który wszedł do naszej Organizacji (komórka planowania).

W czerwcu 1942 r. władze lagru, chcąc wywołać odruch i spowodować zajścia w lagrze, by potem ukarać, dziesiątkując Polaków, zaaranżowały prowokacyjny manewr z zabitym niby przez więźniów Polaków żołnierzem niemieckim, którego zwłoki ostentacyjnie przywieziono, lecz naprężenie, jakie odczuwało się przez parę dni wśród więźniów Polaków i nasza postawa, wyczuła doskonale przez władze, powstrzymały ją od dalszej akcji i sprawę zatuszowano.

Wtedy i później przez szereg miesięcy, do 7 marca 1943 r., byliśmy doskonale zdolni do opanowania lagru w każdej chwili i tylko względem na sytuację ogólną na zewnątrz, brak rozkazu, jakiegos nalotu, który by nam (jako vis — major²⁷) rozwiązał ręce, możliwość popadnięcia w kolizję z interesem ogólnym dla dobra sprawy i tym podobne, powstrzymywał nas od działań samorzutnych.

Tragedią więc naszą było nie to, żeśmy, jak myślała Warszawa, byli kościotrupy, lecz przeciwnie, że jakkolwiek byliśmy silni i lokalnie bieg wypadków mieliśmy w swoim ręku, ze względu jednak na ogólną sytuację (Społeczeństwo — Represje) — ręce mieliśmy związane i z oddali musieliśmy uchodzić za bezradnych.

Potrzebny nam był rozkaz = zezwolenie = placet²⁸ Władz naszych w Warszawie, by w przyszłości nie powiedziano, że ambicja p. p. W., J. lub H tyle ofiar w Społeczeństwie kosztowała i czyn ten nie był wytknięty jako przykład pokutujących w nas od wieków wad narodowych: brak dyscypliny i samowola.

Wtedy jeszcze, ze względu na rozrzucenie poszczególnych „komand” po różnych blokach, dzieliliśmy siły nasze na cztery zasadnicze wielkie oddziały według zadań, które na moment ewentualnego opanowania lagru przypadły tym oddziałom przygotowanym do rozwiązania zadania dwojako: 1) Akcja w czasie — obóz w pracy, 2) Akcja w czasie — wszyscy w blokach (noc, święto).

Wysłałem wtedy meldunek przez Stanisława Jastera²⁹, który razem z trzema kolegami świetnie zorganizował ucieczkę autem komendanta lagru i w bezczelny sposób, koło spotkanego w drodze „Lagerführera”, który oddał honory przebrany parą więźniom w wojskowe mundury, pojechał w świat.

Dopiero w Oświęcimiu, w naszej pracy, doczekałem się momentu, o którym mogło się kiedyś na wolności marzyć beznadziejnie. Oto dopiero w obliczu stosów trupów odrzucili nasi działacze polityczni wstrętne dla mnie zawsze marnowanie energii na partyjne zżeranie się wzajemnie. W komórcie politycznej naszej Organizacji znaleźli się razem prof. Roman Rybacki, były poseł Stanisław Dubois, kolega Konstanty Jagiełło, kolega Piotr Kownacki i kolega Kiliański, którzy wszyscy bardzo przykładowie, zgodnie pracowali.

Transportem do innego lagru, z zamiarem ucieczki w drodze (specjalnie umieścili się w transporcie), wyjechali w lipcu 1942 r. płk Kazimierz Rawicz i pdch. 10 pułku ułanów Witold Szymkowiak, przez którego przesłałem meldunek³⁰. Przed swym wyjazdem płk

²⁶Stefan Bielecki — Żyje. Jest w Warszawie. Pracuje w P. Z. P. [przypis autorski]

²⁷vis major (łac.) — siła wyższa. [przypis edytorski]

²⁸placet (łac.) — zgoda; przyzwolenie. [przypis edytorski]

²⁹Stanisław Jaster — Pracuje w P. Z. P. w Warszawie. [przypis edytorski]

³⁰Witold Szymkowiak, przez którego przesłałem meldunek — Ucieczka w drodze płk Kazimierza Rawicza i pdch. Witolda Szymkowiaka nie udała się. Są w innym obozie i teraz korespondują z nimi przez ich rodziny. [przypis edytorski]

Kazimierz Rawicz zaproponował mi, żebym się zwrócił do płk Juliusza Gilewicza celem wciągnięcia go do pracy na miejsce ustępującego płk Kazimierza Rawicza. Rozmówiłem się z płk Juliuszem Gilewiczem, który się zgodził, wszedł do naszej Organizacji i zaczęliśmy pracować dalej w nowym składzie, gdyż staraniem Henryka Bartosiewicza doszedł jeszcze ppłk Karol Kumuniecki. W ten sposób nie było już prawie oficerów, którzy by nie pracowali w naszej Organizacji.

Wkrótce potem został rozstrzelany płk Aleksander Stawarz i kolega Stanisław Dubois.

W sierpniu 1942 r., w czasie epidemii tyfusu, władze — pod pretekstem „odwszenia” — zagazowały wielu więźniów już zdrowych, którzy byli w bloku tyfusowym (20) jako rekonwalescenci i pojechali do gazu z całą świadomością, że śmierć zawdzięczają zbiegowi okoliczności, bo akurat w dniu gazowania znajdowali się jeszcze w bloku tyfusowym. Blok został zamknięty i wszyscy, za wyjątkiem lekarzy i pielęgniarzy, zostali wywiezieni autami do gazu. Tu wiele zdziałał kpt. dr Władysław Dering, ratując życie ponad 20 Polakom, przebierając ich w ubrania pielęgniarzy.

Na tyfus zachorowałem w 6 dni po tym masowym gazowaniu i szczęśliwie przeszedłem tę chorobę. Prawie wszystkie „stare numery” musiały przejść tyfus.

Po generalnym odwszeniu, po którym władze obozu uporządkowały rozlokowanie więźniów w ten sposób, że każde komando zakwaterowane zostało w całości w jednym bloku, nieświadomie ułatwiając nam zadanie w razie naszej akcji. Gdy już teraz odpadła potrzeba dwojakiego rozwiązania (1. Komanda w pracy lub 2. Więźniowie w bloku), podzieliłem wtedy wszystkie siły, odrzucając ramy poszczególnych piątek, na bataliony, kompanie i plutony, wyznaczając rejony działania, łącząc w bataliony poszczególne bloki i wyznaczając dowódców:

Dowódca bojowy całości — mjr Zygmunt Bończa-Bohdanowski, I Baon mjr Edward Gött-Getyński, II Baon — kpt. Stanisław Kazuba, III Baon — kpt. Tadeusz Lisowski i IV Baon — kpt. Julian „Trzęsimiech”.

Dnia 28 października 1942 r. na apelu wywołano z szeregów, pod pretekstem pójścia do „*Erkennungsdienst*”³¹ w sprawie fotografii, wielu kolegów, przeważnie Lubliniaków, chociaż byli między nimi i z innych dzielnic Polski, jak na przykład dzielny Stanisław Stawiszyński. W czasie, kiedy cały obóz był w pracy, za drutami — tych wszystkich w liczbie 265 rozstrzelano w 11 bloku. Miał tam miejsce pierwszy wypadek, kiedy znalazło się pięciu więźniów namawiających pozostałych do oporu, między innymi kpt. dr Henryk Suchnicki i Leon Kukielka. Jednak — poza pięcioma — wszyscy inni zdecydowali, że *ich obowiązkiem, ze względu na możliwość represji w rodzinach, ...jest zginąć*, a mieli parę godzin do namysłu. Tych pięciu już w 11 bloku zabarykadowało wejście, lecz władze lagru, zawiadomione przez szpicla Ślązaka, zjawiły się, rozprawiły z tą piątką, a potem kolejno zabijano ich strzałem w tył głowy z karabinu małokalibrowego i pistoletu sprężynowego.

Dzień 28 października 1942 r. był dniem naprężenia. Na razie nie wiedzieliśmy, po co zostali wywołani, potem — nie mogliśmy się porozumieć. W górze Organizacji dosłownie nieomal gryźliśmy palce. Żeby chociaż słowo od bliźnich z wolności.

Czekaliśmy na decyzję tych 265. Ich bunt rozwiązałby nam ręce. Skrupuły siłą faktu zgodnie z naszym życzeniem lub wbrew takowemu, musiałyby odpaść. Obóz byłby w naszym ręku. Czekaliśmy. Zdecydowali inaczej. Trzeba było widzieć, jak dzielnie szli na śmierć.

Już od chwili ustawienia ich w piątki przez Palitzscha z karabinkiem, koło trzeciego bloku, wiedzieli, że idą na śmierć. Od bloku trzeciego szli łukiem pomiędzy blokami: 14 a 15, kuchnią a 16, 17, 18, pomiędzy 25, 26, 27 a 19, 20, 21. Tu, koło drewnianego budynku kantyny, jak gdyby się zawahała nieco kolumna, lecz szybko zdecydowała się i zawracając pod kątem dziewięćdziesięciu stopni, skierowała się już prosto we wrota śmierci w 11 bloku. Dzień był słoneczny. Kolumna 265 maszerowała rażno, w wyrównywanych piątkach, silni, młodzi, wybrani. Niejeden dowcipkował, większość miała uśmiech na ustach, bo przeważnie byli to lagrowi weterani. Nieraz sami obserwowali, jak większe lub mniejsze grupki kolegów szły na śmierć i komentowali to potem, robiąc uwagi, kto i jak w obliczu śmierci się zachował. Lecz nigdy nie szło tak wielu, naraz 265 — cała kolumna, bez żadnej eskorty, szli sami, tylko z tyłu szła dobrana para rozmawiając ze sobą — „Bruno” i Palitzsch z karabinkiem na pasie, jak na spacer. Trzeba przyznać — Palitzsch tchó-

³¹*Erkennungsdienst* — służba identyfikacyjna; komisja śledcza w KL Auschwitz. [przypis edytorski]

rzem nie był. Wystarczyło, by ostatnia piątka zrobiła w tył zwrot, a Palitzsch i „Bruno” w pół minuty przestaliby „zipać”. Ci dwaj jednak byli pewni siebie — wiedzieli, że na śmierć szli ludzie zasugerowani wieściami od przybywających z wolności kolegów, iż wróg nie oszczędza rodzin buntowników. Dla ratowania własnego życia nie narażą przecież na śmierć lub katusze matek, żon i dzieci. Przeżycia piekła wyniosły ich już na pewne wyżyny duchowe — przeżywali tu jednocześnie i niebo, i piekło. Prócz tych, co już zginęli, iluż z nich już nieraz ryzykowało życie dla przyjaciela.

Komentując w naszej paczce przyjaciół to wszystko tego dnia wieczorem, zapytywaliśmy siebie, *czy ludzie na wolności ocenią to i zrozumieją kiedykolwiek?* Tamtych pięciu może nie miało bliskich, może wreszcie nastąpił u nich moment przełomu? Nie zdołali jednak porwać reszty i zdecydowali się za późno, wtedy gdy już byli zamknięci w 11 bloku. Przyspieszyli tylko własną śmierć. Reszcie kazano czekać na śmierć kilka godzin, do południa.

Miał to być rewanż za zajścia na Lubelszczyźnie.

W jesieni 1942 r. przyjechali znani mi z pracy w Warszawie ppor. rez. Stanisław Wierzbicki, Czesław Sikora, Kiliański oraz kpt. Stanisław Machowski, o którym ppor. rez. Stanisław Wierzbicki mówił, że jest referentem personalnym Komendy Głównej Warszawa. Pomimo że wszyscy do ostatniej chwili pracowali w Warszawie, wymienieni czterej mało o Oświęcimiu wiedzieli. Ppor. rez. Stanisław Wierzbicki wiedział, że trzeba znaleźć „Witolda”, lecz nic nie słyszał o masowym gazowaniu, o „kanadzie”, o zastrzykach fenolu, „piramidach”, tajemnicy 10 bloku i o „Ścianie płaczu” w 11 bloku. Ppor. rez. Stanisław Wierzbicki przywiózł mi przyjemną wiadomość, że wysłany od nas Stefan Bielecki dobrnął szczęśliwie do Warszawy i pracuje. On sam go odwoził autem do Mińska Litewskiego. To nas pocieszyło, bo dotychczas nie mieliśmy żadnych wiadomości o losach *wysyłanych*. Wsiąkali w teren... bez echa.

Na zapytanie, jak się zapatrują ludzie na wolności na ucieczki z Oświęcimia, ppor. rez. Stanisław Wierzbicki odpowiedział „dwojako”.

Społeczeństwo potępia, gdyż sądzi, że dotychczas rozstrzeliwują dziesięciu za jednego zbiega, natomiast Komenda Główna w Warszawie odznacza zbiega z Oświęcimia „Virtuti Militari”. Dziś na wolności mogą się tylko śmiać z tego. Biedaczysko bujał nas — widocznie chciał nas namówić na ucieczkę z Oświęcimia razem z nim. Nie przeżył biedak dwóch miesięcy.

Wszyscy oni, ppor. rez. Stanisław Wierzbicki, Czesław Sikora i Kiliański zgodnie oznajmili, że są zaskoczeni naszym stanem fizycznym (więźniów Polaków, że w Warszawie o nas *myślą jak o „kościotrupach”*). Przywieźli nam przykre wiadomości o tym, że — zasadniczo — o Oświęcimiu mało kto myśli i *nie ma mowy o tym, żeby ratować Oświęcim, bo się nie oplaci*, gdyż to są ludzie „do niczego” — same kościotrupy. I gorzko, i śmiesznie było o tym myśleć, patrząc na tryskające zdrowiem postacie kolegów — Polaków. *Nie prosiliśmy* przecież nikogo o jakąkolwiek pomoc, czekaliśmy na rozkaz — *zezwolenie* wszczęcia akcji samodzielnej lub — *zakaz* takiej.

Na zakończenie nowo przybyli wnieśli prośbę „ratujcie nas”.

Po zaopiekowaniu się kpt. Stanisławem Machowskim przez jego znajomego i podwładnego niegdyś, a naszego pracownika Motykę, resztę oddaliśmy opiece innych i znaleźliśmy im lekką pracę.

Historia się powtarza — *niezrozumieli* są ci, co w obozach giną, jak również ci, co w obozach *trwają*. Trzeba dopiero wielu lat, by — już ich prochom — hołd oddano.

Od czasu do czasu — przez tych parę lat w lagrze — niektórzy starali się sugerować mi, że żadnej pracy na terenie obozu prowadzić nie należy, że jest to wbrew „*życzeniom społeczeństwa*”. Nie chciałem w to wierzyć, bo według tego rozumowania, a więc niby „*na życzenie reszty społeczeństwa*” należałoby, by przywieziony do lagru Polak zmarł i to zmarł jak najprędzej — nie walczył o byt, nie opiekował się kolegami, nie podtrzymywał nikogo na duchu i w chwili, która kiedyś nadejdzie, jeśli jeszcze żyć będzie, był członkiem stada niemrawych baranów. Tacy, ma się rozumieć, nie będą już groźni — ani dla wroga, ani dla reszty Polaków, którzy — świadomie lub nie — robią wrażenie, jakby w braciach swych, więzionych w lagrach — widzieli konkurentów do późniejszych laurów.

My nie o laurach myśleliśmy w lagrze.

W wysiłku pracy codziennej walczyliśmy o to, by jak najwięcej dać braciom Polakom sił do tej walki i o to, by jak najmniej oddać do komina krematorium istnień polskich, a dzień czasami wydawał się rokiem. Poza tym — niektórzy nawet w lagrze — potrafili mówić, że oni tylko mają upoważnienie do pracy, reszta zaś widocznie w ich pojęciu przestaje być synami Polski. Tak na przykład: „Czesiek” i „Tadek”, mając dobre warunki łączności z cywilną ludnością, a przez to i dalej oraz będąc daleko rozgałęzioną pierwszą „piątką górna”, tak daleko od pnia odbiegli, że sugerowali mi przez ppor. Konstantego Piekarskiego, że tylko oni są upoważnieni przez Warszawę do prowadzenia pracy na terenie lagru (raporty, fotografie). Wszyscy inni natomiast — „zdaniem Warszawy” — jak twierdzili „Czesiek” i „Tadek”, winni przestać pracować, co oznaczało prawie to samo, co przestać egzystować. Przyzwyczałem się już dawniej w Warszawie do pokutującego wśród Polaków przesadnego wyobrażenia, że tylko on coś może i on jest *upoważniony*, więc się tym nie przejmowałem, tym bardziej że zwykle wygląda to na walkę z konkurentami i pracę dla korzyści *własnej* w przyszłości.

Co się tyczy radia, to prócz naszej iskrówki³², którą na skutek nieostrożności „języków” musieliśmy w jesieni 1942 r. rozmontować, i jednego aparatu odbiorczego, udało mi się wkręcić, na miejsce niezdarne już byłego naszego komandora Sokołowskiego, do miejscowej niemieckiej radiostacji obozu, gdzie razem z ppor. Konstantynem Piekarskim robiliśmy dla władz mapy i gdzie udało mi się zorganizować naszą komórkę przy udziale pdch. rez. Zbigniewa Ruszczyńskiego, oraz skąd wyniosłem cały plik druków — szyfrowanych skrótów, używanych przez „Funkstelle” (ośrodek łączności radiowo-telegraficznej przy komendaturze oświęcimskiego garnizonu SS A. C.), tak zwanych „Verkehrskürzungen”. Druki te przez kolegę Eugeniusza Dulina, za pomocą „styków” w pracy więźniów z pracownikami cywilnymi w Brzeszczach, przekazałem „cywilom” — członkom Organizacji na zewnątrz, którzy twierdzili, że w ich planach leży „odbicie” Oświęcimia i pomszczenie tylu „męczenników”. Słabsi duchem więźniowie podchwycili to chętnie, twierdząc, że my sami nie powinniśmy nic w tym kierunku robić, tylko czekać, aż nas „oswobodzą” — jak się okazało, *czekać beznadziejnie*.

Przez cały rok 1942 miałem wielką łatwość w manipulowaniu przy przenoszeniu kolegów należących do naszej Organizacji do upatrzonych działów pracy („komand”), celem przygotowania „gruntu” dla pracy Organizacji. Było to możliwe dzięki temu, że członek naszej Organizacji, pdch. Mieczysław Januszewski, potrafił zdobyć stanowisko „arbeitsdiensta” i całe masy członków naszej Organizacji zajęło miejsca wygodne, bądź to z powodu dobrego „komanda”, dającego możliwość zachowania życia, bądź tylko wyłącznie dla celów pracy organizacyjnej, jak również w razie potrzeby ulokowania kogoś w „Komando” nadającym się do zorganizowania ucieczki (jak było z Wincentym Gawronem i Stefanem Bieleckim, celem przekazania meldunku do Warszawy, a jednocześnie ratując życie tych dwóch kolegów, którzy siedzieli za broń i mieli wyroki śmierci).

Rok 1942 zakończył się kawałem, jaki splatali czterej więźniowie, należący do elity lagrowej, gdyż pełnili obowiązki „arbeitsdienstów”. Pierwszy i drugi *Arbeitsdienst* — Mietek (pdch. Mieczysław Januszewski) i Otto (noszący kolejny numer więźnia — 2), obaj dzielni, o sympatycznej powierzchowności, cieszący się sympatią więźniów, w towarzystwie innych jeszcze dwóch kolegów, mając wiele swobody w poruszaniu się w lagrze i w obrębie większego „łańcucha wart”, pojechali sobie końmi w świat, na dodatek robiąc wielką przysługę nam więźniom, napisanym listem do jednego z katów obozu — więźnia nr 1 — „lagerältestera”, szpiega Polaka na usługach niemieckich (Bronisław Brodnie- wicz), zwanego „Bruno — czarna śmierć”. List utrzymany w serdecznym tonie (więźni nr 1 i nr 2 nie znosili widoku jeden drugiego), oznajmił, że tak się jakoś złożyło, że muszą się śpieszyć, nie mogą — pomimo umowy — zabrać go ze sobą. Pomimo że porozumienia z Brunem w ogóle być nie mogło, a tym bardziej w sprawie ucieczki, władze lagru pozbawiły nas jednak tego kata, a jego wolności, pakując go do bunkra, gdzie tłumaczył się przez trzy miesiące (ucieczka — 30 grudnia). Zamknięcie Bruna — na Sylwestra — spowodowało, że reszta świat — aż do 6 stycznia przeszła pod znakiem niebываłych przedtem zabaw, maskarad, meczów bokserskich, koncertów i tańców, co na starych lagrowcach robiło wrażenie jakiegoś szału przed burzą.

³²iskrówka (pot.) — przenośna stacja radiotelegraficzna. [przypis edytorski]

Rygor w lagrze od początku, bardzo wolno, lecz stale słabł, tak że przywieziony do lagru o miesiąc później nie tym się różnił od starszego swego kolegi, że o 30 dni mniej tu siedzi, lecz tym, że już nie zaznawał niektórych sposobów gnębienia, które w poprzednim miesiącu jeszcze stosowano. A było tych sposobów zawsze mnóstwo u całej plejady władz i sfory naganiaczy — jedni stosowali je z obowiązku niszczenia życia znenawidzonych, inni dla korzyści przypodobania się pierwszym. Esesmani nieraz otwarcie mówili, jakby tłumacząc swe zachowanie: „*das ist ein Vernichtungslager*”³³. Toteż starzy, widząc rozchowanie na święta, mówili: „Był lager Auschwitz” ale teraz, chwała Bogu, nie ma go już — pozostała jeszcze ostatnia sylaba: sam „wic”³⁴. Nie przeszkadzało to wcale, że wracając po świętach wieczorem po całodziennej pracy do zadrutowanych bloków, jak zawsze widziało się obrazek, który dla innych ludzi spoza lagru mógłby się wydać makabrycznym: orkiestra nasza, złożona z kolegów — muzyków (posada bardzo dobra), podziwiana zresztą przez wszystkie komisje z Berlina i chluba komendanta lagru (jeśli jakiegoś rodzaju muzyka zabrakło, to go bardzo łatwo znajdowano w cywilu i do obozu przywożono), różnie od ucha jakiegoś marsza — przeważnie bardzo skocznego. Wydaje się, że to jakaś polka albo oberek, pod który maszerują oddziały do obozu. Nie wszystkie jednak idą różnie, jak stare numery, przeważnie w warsztatach pracujące, niektóre „komanda” suną raczej niż idą, to numery młode — niosą pomdlałych, niektórych wloką z braku sił. Zakrwawione, rozbite ręką jakiegoś kretyna ze Śląska lub Niemca głowy, bezwładnie się „bełczą” lub opierają na ramionach obok zmartwiałych twarzy niosących i mimowolnie pyta się człowiek siebie: „które z tych głów są żywe jeszcze?” Tu wloką jakiegoś półtrupa brzuchem po ziemi, bo niosący ledwo się suną, a trzeba iść w nogę, w takt skocznego marsza, jeśli się nie chce dostać po głowie. Nasz oddział liczy pięć setek, wszystko to warsztatowcy: zdrowi, silni, w miarę możliwości weseli. Różne się widzi twarze, lecz przeważnie to weterani lagrowi — idziemy mocnym krokiem, przechodzimy koło grupy władz lagrowych, na twarzach których i w oczach widoczne jest jeszcze roześmianie spowodowane przemarszem jakiejś poprzedniej, nieszczęśliwej kolumny. Silny krok kolegów, z których większość należy do naszych piątek, spędza z twarzy tyranów uśmiech. Pomimo że warsztaty są niby również ich „chlubą” i prace nasze i my sami prezentowani bywamy — jako pokazowi więźniowie — wszelkim komisjom, niechętnie patrzą nam w oczy i raczej się odwracają. Myślimy: kiedyż nareszcie na was będziemy mogli się rzucić. Obok stoją — na wszelki wypadek — dwa oddziały żołdaków uzbrojonych po dziurki od nosa, ale co to wobec nas znaczy — nie zdążyliby zipnąć. *Lecz nie wolno! Koledzy, nie wolno! Społeczeństwo by za to drogo zapłaciło* — tak nam sugerują z oddali. Czy nie ma w tym jakiejś fatalnej omyłki? Przechodzimy koło krematorium. Naprzeciwko wejścia stoi grupka mężczyzn i kobiet. Polacy. Wrażenie akurat takie, jak się widzi kilka krów przed rzeźnią. Mój Boże — kobiety — Polki, zaraz, gdy tylko wejdziemy do lagru, poproszą ich żywcem do krematorium, dadzą im mydło i ręcznik, a one i oni będą sądzili, że idą się kąpać (czasami nawet tej komedii nie stosują). W krematorium otworzy się okno u góry i spadnie bańka (rozbijając się) z gazem. I koniec z życiem. Dla małej grupki żalowano gazu — ogłuszono uderzeniami po głowie i żywcem wpychano na ruszt. Przechodzić będziemy tuż koło nich, nieomal się otrzymemy zdrowi, silni mężczyźni. Żeby chociaż w ich oczach nie ujrzeć pogardy. Lecz może jeszcze mają nadzieję. Wiedzą jednak przecież, że tu się na śmierć przyjeżdża. Przeszliśmy. Nie w jednych oczach widzieliśmy nie pogardę, lecz śmierć! Nie na jednej twarzy dumę, że w Oświęcimiu umrze. Był wśród nich mały chłopak, może dziesięć lat liczący, ten stał na palcach, by nas lepiej widzieć i uśmiechał się do nas może kogoś szukał wzrokiem. My wszyscy mamy jakieś ukochane kobiety, jakichś małych szkrabów w domu, widzieliśmy tutaj wiele dantejskich scen, a jednak oczy tych nie dawały nam potem spokoju w nocy. Dalej koło bramy stoi jakaś druga grupka kobiet i mężczyzn, ci są odwróceny do nas tyłem. Tak stać będą, zanim makabryczny pochód wchodzących się nie skończy. Potem odstawieni będą do bloku II do badania, do kresu swej wędrówki — ku „Ścianie płaczu”. Później ich wywiozą w krwawych trumnach tam, gdzie i grupkę pierwszą, a popioły razem z popiołami „häftlingów” rozwieje wiatr w polu. Iluż to kolegom przychodzi na myśl, patrząc na te postacie kobiece: „Może Matka,

³³*das ist ein Vernichtungslager* — to jest obóz unicestwienia. [przypis edytorski]

³⁴*wic* (daw., z niem. *Witz*) — dowcip, żart. [przypis edytorski]

może żona, może siostra, może córka”. Lecz twarde jest już serce lagrowca — oto w pół godziny potem myśl jego zaprzątnięta jest wyłącznie tym, gdzie „zorganizować” jakieś „żarcie” i stoi ubijając jakiś interes „margarynowy” z jakimś kolegą, zupełnie nie widząc tego, że stoi tuż obok, o krok od ogromnego stosu nagich trupów, którym „zrobiono” na rozkaz zastrzyk z fenolu — dziś tylko stu kilkudziesięciu — i rzucono tu jednych na drugich ze szpitala z porozrzucanymi kończynami, martwymi żenicami przyglądającymi się załatwianiu sprawy handlowej, w oczekiwaniu na wóz, który za parę godzin zawiezie ich do krematorium. Nikomu nawet na myśl nie przyjdzie wdrygnąć się, gdy oprze się lub nawet nastąpi na jednego z tych nagusów. Wczoraj był jego kolegą, dziś leży tu spokojnie, jutro może on sam będzie leżał — wielka rzecz!

Tak więc po świętach rok 1943, poza zmianą „lagerältestera” i dalszym postępowaniem w łagodzeniu kursu, rozpoczął się zwykłymi obrazkami lagrowymi. W styczniu 1943 r. został rozstrzelany płk Jan Karcz oraz por. rez., niegdyś pracownik TAP-u w Warszawie, Eugeniusz Zaturski, 16 lutego — por. rez. Stanisław Wierzbicki, były pracownik TAP-u. Następnie grupa osadzona na dłuższy czas w bunkrze i w końcu rozstrzelana: ppłk Karol Kumuniecki, mjr Edward Gött-Getyński, por. Tadeusz Biliński, rtm. Włodzimierz Koliński i por. Mieczysław Koliński — bracia i inni, wszyscy właśnie strzałem w tył głowy z pistoletu sprężynowego używanego do uboju bydła, a więc trochę inaczej jak w Katyniu.

Podobnie jak w Katyniu początkowo ciała zabitych (zagazowanych) grzebano w Brzezince w wielkich rowach, przy których pracowało specjalne „komando”, złożone wyłącznie z Żydów, którzy żyli zaledwie dwa tygodnie, a następnie byli zagazowywani. Potem okazało się, że był to zły sposób, gdyż woda w okolicy zaczęła cuchnąć, no i... zostawały ślady. Zaczęto odgrzebywać trupy i spalać je na stosach. Początkowo pracowano ręcznie, lecz potem zastosowano dźwigi. O spalaniu w krematorium mowy być nie mogło, gdyż krematoria nie mogły nadążyć. Zrobiono nowy projekt dwóch nowych krematoriów, po osiem stanowisk na ciała w każdym, z trzyminutowym spalaniem elektrycznym. Obliczono, że pracując na dwie zmiany i paląc po dwa trupy na jednym stanowisku, można rocznie spalić w dwóch krematoriach plus minus pięć milionów trupów. Projekt zatwierdzono w Berlinie w trybie przyspieszonym i przystąpiono do budowy takowych. Miały być gotowe na 1 lutego 1943 r., potem, z konieczności, terminy przedłużono i w kwietniu 1943 r. były już gotowe.

Gazowanie zdrowych ludzi większe wrażenie zrobiło tylko po raz pierwszy. W parę miesięcy po rozpoczęciu wojny z bolszewikami władze lagru dostały kilkuset pierwszych jeńców, z których około siedmiuset, w obecności jakiejś komisji, wpakowali do jednej sali w bloku 11 (komory gazowe nie były jeszcze gotowe do użytku), stłoczyli ich tak, że stać nawet nie było miejsca, uszczelniono całą salę i w obecności świty w maskach gazowych — zagazowano. Ci, co po przewietrzeniu sali mogli tam wejrzeć, opowiadali o dantejskich wrażeniach, jakie odnieśli. Miała to być, sądząc z mundurów, w których byli gazowani, sama szarża bolszewicka z różnych formacji. Wyglądało to na próbę gazu.

W listopadzie 1941 r. byłem świadkiem — rano, po wyjściu z bloku — jak kilka kolumn, zupełnie nagich, maszerowało do krematorium; było ich kilka setek. Padał zlodowaciały śnieg i wdrygałem się na myśl, jak im musi być zimno. Byli to bolszewicy. Ponieważ był to pierwszy wypadek pakowania do krematorium od razu żywych ludzi, dziwiłem się, czemu wyczyniają jakieś historie właśnie w tym „lokalu”, gdy tam nie ma absolutnie czasu na cokolwiek innego, jak palenie ciał i pracujący tam więźniowie na dwie zmiany dzień i noc, ledwie zdołają dać radę z nawąłem naszych ciał (kolegów). Okazało się, że zostali oni rozebrani i wpędzeni od razu do krematorium, właśnie dla zaoszczędzenia czasu.

Od początku lagru, bardzo rzadko, zdarzały się zwolnienia przeważnie więźniów z transportów warszawskich z łapanki. Lecz od czasu, gdy się rozpoczęły gazowania, wszelkie zwolnienia ustały, aż do końca 1942 r., kiedy to na skutek podpisywania w lagrze przeważnie przez Śluzaków listy volksdeutschów, szereg więźniów opuszczać zaczęło obóz, z tym że ich od razu pakowano do wojska, by nie mieli wiele czasu na „plotkowanie” na tematy lagrowe.

Od początku obozu władze starały się zabrać nam czas wolny po pracy — którego i tak mieliśmy bardzo mało, gdyż początkowo pracowaliśmy również w niedzielę — naj-

rozmaitszymi przeglądami mundurowymi („*Sachenappell*”), niewypuszczaniem z bloków („*Blocksperr*”), a od czasu epidemii tyfusowej — szukaniem wszy i przeglądaniem przez sanitariuszy bielizny („*Läuseappell*”). Pod upozorowaniem tego higieną kryła się myśl przewodnia, by więźniowie mieli możliwie znikomą ilość czasu na porozumiewanie się.

Gdy władze zorientowały się, że u nas Polaków jakoś wszystko dziwnie „kłapuje” (solidarność, opanowanie lepszych stanowisk, podtrzymywanie chorych i wielki procent ozdrowieńców łącznie z „przypadkowym” wykańczaniem się nasyłanych nam szpicli), zaczęło im świtać w głowie. Wtedy — jesień 1941 r. — odebrano nam w niedzielę jeszcze dwie godziny czasu (od 13 do 15), przeznaczając je na przymusowe spanie, ściśle przestrzegane przez władze bloków, albowiem więzień, który nie spał w niedzielę po obiedzie był uważany za *sabotażystę marnującego swoje siły*.

Widząc, że rezultat tego zarządzenia był nikły, w 1942 r. władze wzięły się na inny sposób. Umieszczono na bloku 15 (na zewnątrz) skrzynkę pocztową, do której polecono (ogłoszono we wszystkich blokach) wrzucać anonimowo lub z podpisanymi zawiadomienia władz o różnych podpatrzonych, podsłuchanych rozmowach i tym podobne. *Podjęliśmy wtedy walkę*. Zajęli się tym: por. Tadeusz Biliński, kolega Tadeusz Jakubowski i kpt. Tadeusz Dziedzic, którzy spreparowanym kluczem otwierali skrzynkę na kilka godzin przed otwarciem jej przez Palitzscha lub innego z władzy. Wrzucone listy przeglądaliśmy, zestawiając dla nas nieszkodliwe, orientowaliśmy się, kto jest „kapusiem” i czasami dopisywaliśmy sami anonimy, by władze miały „strawę” dla dochodzeń w kierunku „organizacji złota” lub innym, odbiegającym od nas i absorbującym całą uwagę władzy, czasami nawet z dobrym rezultatem, skierowując dochodzenia przeciwko samym „kapusiom”.

Organizacją złota nazywało się wszystko to, co się tyczyło złota, banknotów lub drogiego kamieni ukrytych w teczkach, walizkach lub tubkach z kremem, pastą do zębów, obcasach, w mydle i wszędzie, gdzie się tego najmniej można było spodziewać, a pozostałych po zagazowanych tu transportach przeważnie (lecz niekoniecznie) Żydów, którzy tu jechali „na roboty do Niemiec” z Francji, Czech, Grecji, Holandii, Norwegii i tym podobne, a którym wolno było zabrać ręczny bagaż, w którym chcieli cały swój majątek — w postaci złota, dolarów, brylantów — skrycie przemycić. Po pobieżnej, a nieumiejętnej rewizji tych rzeczy przez esesmanów kapów, więźniowie, którzy z tytułu swej pracy lub sprytu zdołali dopaść tych rzeczy, a nie krępowali się żadnymi skrupułami, wyciągali (nieraz byłem świadkiem) wcale piękne brylanty, złoto i banknoty, poza tym najrozmaitsze przedmioty galanterii damskiej i męskiej i wszystko co dobrze sytuowana kobieta lub mężczyzna za konieczne mieć uważali.

Pracowałem wtedy w garbarni, gdzie przywożono celem natychmiastowego spalania w wielkim piecu fabrycznym walizki, wózki dziecięce, torebki damskie i wiele innych przedmiotów, czasami przedmiotów luksusowych, lub celem sortowania i sparowania³⁵ całych piramid butów męskich, damskich, dziecięcych, rozmaitych form, kolorów i rozmiarów. Jeśli dodamy ogromną ilość doskonałej bielizny, to będziemy mieli mniej więcej wyobrażenia o tej właśnie „kanadzie” jednego rodzaju. Drugim rodzajem „kanady” były przywożone przez tych ludzi, którzy sądzili, że jadą na roboty do Niemiec, a „*jechali przez komin krematorium w Oświęcimiu*”, to zapasy żywności. Najrozmaitsze konserwy mięsne, rybne, sardynki, pomarańcze, cytryny, cukier, czekolada, kakao, cukierki, ciastka, daktyle, migdały, figi i tym podobne. Były częścią tego, co składało się na „kanadę” tego drugiego rodzaju. Wszystko to razem stanowiło towar do handlu pomiędzy więźniami, pretekst do codziennych rewizji, przy czym rezultatem rewizji było obłowienie się esesmanów lub kapów i wykańczanie się więźniów w bunkrze lub SK³⁶.

„Organizacją złota” było więc posiadanie przedmiotów należących do zagazowanych i uprawnianie handlu takowymi. Przypadkowy jednorazowy wypadek handlu zamiennego pomiędzy dwoma obcymi sobie więźniami wiązał i zobowiązywał do obopólnej dyskrecji. Znalezienie u jednego złota po dochodzeniu — biciu w bunkrze — w rezultacie powodowało czasami „aresztowanie” w lagrze całego szeregu innych więźniów, do których ślady złota prowadziły. Chciwość na złoto esesmanów była przyczyną dochodzeń również wśród nich.

Handel, Korzyść

³⁵ *sparowanie* — tu: połączenie w pary. [przypis edytorski]

³⁶ *SK* — [skrót od] *Strafkompanie*: karna kompania; A. C. [przypis redakcyjny]

Oświęcim wkrótce stał się centrum, z którego w różnych kierunkach zaczęło — jak strumyczkami — odpływać złoto i brylanty. Władze lagru same w tym maczały ręce. Komendant lagru, będący w dobrych stosunkach z największym bandytą naszej fabryki (garbarnia), oberkapem Erikiem, zezwalał oficjalnie — przypuszczalnie sam do podziału łupu należał — na przywożenie do Erika autami walizek o zawartości samych wysegregowanych zegarków, perfum paryskich, nożyczek i tym podobnych, które to rzeczy wędrowały potem (sprzedawane) do Niemiec.

Wówczas na drogach z Oświęcimia można było widzieć posterunki zatrzymujące nawet auta wojskowe, rewidujące esesmanów i w ogóle wszystkich, co od strony naszego obozu jechało lub szło.

Ta właśnie „gorączka złota” (organizacja złota) i otumanienie esesmanów przez podsuvanie i wskazywanie im pewnych śladów w tym kierunku była dobrym piorunochronem dla pracy naszej Organizacji.

Na złoto ludzie reagowali różnie, osobiście nigdy nie wierzyłem, żeby mnie te „krwawe” brylanty lub złoto przyniosły szczęście i przyznam, że w stopniu dla siebie niespodziewanym przechodziłem koło tych przedmiotów prawie zupełnie obojętnie, lecz znalazłem takich, którzy pracując na przykład w rzeźni sprzedawali kielbasę za złoto. Kiedy później miałem zamiar opuścić obóz, zwróciłem się do jednego z kolegów, który miał pieniądze, proponując mu wspólną ucieczkę, gdyż w drodze pieniądze mogły się przydać. Gdy zapytałem, ile już nzbierał, to okazało się, że dopiero nazajutrz mógł mi odpowiedzieć, że ma złota przeszło kilogram, a po paru tygodniach miał przeszło półtora kilograma. Tak się jednak stało, że wyjście z obozu z tym kolegą nie ułożyło się i poszedłem z takimi, którzy akurat złamanego szeląga nie mieli.

Nie tylko złoto lecz w ogóle obóz, warunki, przeżycia, były tym, co wyraźnie klasyfikowało charaktery — wartości indywidualne. Jedni staczali się, stając się coraz większymi draniami bez skrupułów, inni za to, jakby dla przeciwwagi, podnosili się ciągle moralnie, silnie rzeźbiąc w charakterach własnych jak w kryształach. Zdarzały się ciągle niespodzianki, jak załamania tych, którzy się silnymi wydawali, jak również nagle odrodzenie się moralne indywidualności słabych.

Abstrahując od „kanady”, niespodzianki robili i koledzy „cugangi³⁷”, którzy tu z Pawiaka, Montelupich, innych więzień i łapanek przyjeżdżali. W masie nowo przybyłych „piątkarze” nasi szukali krewnych i znajomych, współpracowników w Organizacji na wolności, nad którymi roztaczaliśmy opiekę (bielizna, odżywianie, lepsza praca). Przyglądaliśmy się im zawsze uważnie, bo nigdy jednak nie wiadomo było, jak zachowa się kolega przywieziony z wolności. Na przykład mjr Wacław Chmielewski, który pracował u nas w Warszawie w TAP pod pseudonimem „Sęp”, a którego zdawało się, że dobrze znam, tu w obozie na placu w czasie spaceru, w obecności kilkunastu kolegów bliżej stojących, którzy słyszeli, rzucił się do mnie z radością, krzycząc nieomal: „A, pan tutaj! Pod własnym nazwiskiem. A mnie w gestapo w Warszawie d... w kratki pocięli, pytając, gdzie jest Witold”. Dobrze, że akurat kapusia między nami nie było. W każdym razie zdekonspirował mnie wobec szeregu kolegów, co trzeba było potem odrabiać (świadek tego obecnie na wolności — por. rez. Karol Świętorzecki).

Czasami również niespodzianki robili nam więźniowie, którzy tu siedzieli już od dawna. Typowy schizofrenik (podobno mojżeszowego wyznania) Janusz Kuczbara bez zasad, etyki, skrupułów. Jeżeli chodzi o korzystanie z okazji wzbogacenia się przez „kanadę”, zdołał zdobyć wpływ na „Czeška” i „Tadka” oraz ppor. Konstantego Piekarskiego, przy czym ostatni twierdził, że jest to niezwykły człowiek (Janusz Kuczbara), który jedynie ma placet Warszawy na prowadzenie tutaj roboty. Zorientowany przez ppor. Konstantego Piekarskiego w kierownictwie naszej Organizacji, rzeczywiście imać się zaczął niezwykłych sposobów, usiłując hamować naszą pracę. Gdy jego wysiłki (straszenie nas) nie dały rezultatu, Janusz Kuczbara, oszczędzając dzięki interwencji ppor. Konstantego Piekarskiego moją osobę, postanowił parę osób z naszej góry okryć śmiesznością. W tym celu przy pomocy innego więźnia namalował ośmieszające kolegę Henryka Bartosiewicza i płk. Juliusza Gilewicza (z wymienieniem imion i nazwisk) dyplomy honorowe na „odznakę podwiązki” za pracę niepodległościową w lagrze na dwóch białych kartonach

³⁷ *cugang* (gw., z niem.) — nowo przybyły. [przypis edytorski]

z karykaturami, „z pieczęciami”. Z tymi kartonami, powiązаныmi w rulony podwiązkami z „kanady” w biały dzień, w czasie przerwy obiadowej otwarcie defilował w kierunku szpitala, by tam wśród znajomych pochwalić się swym dziwnym wyczynem. Robił wrażenie naprawdę nieprzytomnego, gdyż pierwszy lepszy esesman lub ktoś inny z władz obozu mógł zapytać, co to za rulony niesie pod pachą. Pomijając motywy, które kierowały tym panem, sposób był więcej niż niewłaściwy, gdyż tendencyjnie, a lekkomyślnie narażał dwóch kolegów na dochodzenie, ewentualnie śmierć i dalsze dochodzenie w tym kierunku w obozie. Kolegom kpt. dr. Władysławowi Dedingowi i dr. Rudolfowi Diemowi udało się dyplomy panu Januszowi Kuczbarze odebrać i zniszczyć. Poza tym człowiek ten posiadał spryt (widziałem go pewnego wieczoru w lagrze pod blokiem 23 w umundurowaniu esesmana), co potrafił wykorzystać w dniu 30 grudnia 1943 r., doprowadzając do skutku ucieczkę, o której już wspominałem.

W lutym 1943 r. przywieziono do nas do bloku za czterysta pięćdziesiąt kobiet i mężczyzn, których dręcząc w rozmaity sposób zmuszano do zeznań, tygodniami kazać im leżeć na brzuchu (Polacy). W bloku 11 Palitzsch — kat o specjalnym zacięciu — urządził polowanie na dzieci, kazał biegać dziewczynkom po zamkniętym dziedzińcu i strzelał, zabijając je jak króliki, wyrwał matce dziecko z rąk i rozbijał małą głowę o ścianę, kamień. Zwyrondnialec — płacz i śmierć szły za nim — a on po dokonaniu zbrodni, wychodził uśmiechnięty, przystojny i grzeczny, spokojnie palący papierosa.

W okresie od wiosny 1942 r. do jesieni 1942 r. obóz nasz przedzielony był murem, za którym mieścił się obóz dla kobiet. Potem kobiety zostały przeniesione do obozu w Brzezince, gdzie ginęły w gorszych niż my warunkach, w brudzie, gdyż brakowało wody i innych wygód. Z początku obóz nasz obejmował ogrodzonych na ten cel dwadzieścia bloków, z tego sześć piętrowych, a czternaście parterowych. W ciągu mojego pobytu w obozie zbudowano osiem nowych bloków na placu (byłym apelowym) i wszystkie podniesiono do piętrowych. Wszędzie przeprowadzono kanalizację. Skasowano ubikacje i pompy na polu, przenosząc je do bloków. Wszystkie te budowy kosztowały tysiące istnień ludzkich. Cegły i dachówki nosiliśmy ręcznie z odległości paru kilometrów.

W marcu 1943 r. przywieziono do Brzezinki całe rodziny Cyganów i założono dla nich specjalny obóz. Potem część mężczyzn Cyganów przywieziono do nas. Razem z Holendrami, Norwegami, Francuzami, Żydami, Niemcami, Jugosłowianami, Grekami, Rosjanami, Ukraińcami, Belgami, Bułgarami i Rumunami tworzyliśmy istną wieżę Babel.

Zaczęto mówić o tym, że wszyscy Polacy będą stąd wywiezieni. Jednakże od razu wiadomo było, że na zupełne wywiezienie Polaków, którzy byli jednak najlepszymi pracownikami, władze lagru nie zdecydują się.

Postanowiono więc Polaków wywieźć. Tłumaczono to tym, że tak wielkie skupienie Polaków na terenie Polski, otoczonych zewsząd ludnością polską, ze względu na łatwość porozumienia się, możliwość zrzucenia tu desantu — siły żywej, lub tylko samej broni — jest wielce niebezpieczne. *Nie chcieli tego wziąć pod uwagę przyjaciele, zdecydował wreszcie, że tak jest — nieprzyjaciel.* W nocy z dnia 7 na 8 marca 1943 r. w blokach zaczęto wywoływać numery Polaków, co do których miejscowy oddział polityczny zrezygnował z dalszych przesłuchań, jak również egzekucji. Prócz wymienionej nocy wywoływano jeszcze numery przez dwie następne. Robiono to w nocy ze względu na to, by nikt nie miał czasu na jakąkolwiek kombinację umożliwiającą mu pozostanie w obozie, a wiadomo, że Polacy, starzy lagrowcy, zawsze potrafili się jakoś wykręcić (można było gwałtownie zachorować). Poza tym w dzień poszczególni esesmani, odpowiedzialni za jakiś dział pracy, szefowie „komand”, bardzo chętnie reklamowali Polaków — zawsze woleli pracować z Polakami. W nocy nie dało się nic zrobić. Z zamkniętego jednego bloku więźniów szedł do bloku specjalnie na ten cel przeznaczonego, gdzie wszystkie drzwi zamykano na klucz.

Więźniowie w podnieceniu śledzili wyczytywane numery. Niejednemu kamień spadł z serca, gdy jego numer wyczytano: „znaczy, że zrezygnowali z dręczenia mnie dalej”, „no jadę”, „nie rozstrzelają mnie tutaj”, „Boże, dlaczego mego numeru nie ma dotychczas” — słyszało się dookoła wśród kolegów.

Byli i tacy, którym wyjazd zupełnie nie odpowiadał, byli to więźniowie na dobrych pod względem wyżywienia lub łączności z cywilami stanowiskach. W nowym miejscu znów się będzie „cugangiem”, znów od początku trzeba będzie pracować nad „wply-

nięciem”, utrzymaniem się na powierzchni, a przecież nie wszystkim się uda, więc znów nieubłagana selekcja. Przeważało jednak zdanie, że jednak jechać warto.

Wiadomo było dawno (zdanie wyważone przez więźniów z innych łagrów), że takiego piekła jak tutaj nigdzie nie ma. Poza tym zachęcało do wyjazdu przywiązanie koleżeńskie. Przewidzieć naprzód, kto będzie „wyczytany”, nie można było. Nasi „piątkarze”, którzy nam zawsze przynosili szczegółowe wiadomości z politycznego oddziału, w tym wypadku nic nie mogli powiedzieć. Dwóch bogów łagrowych — Grabner i Palitzsch — strzegli zazdrośnie listy przeznaczonych do transportu.

Od „naszych” esesmanów — było w obozie kilkunastu esesmanów, którzy byli w kontakcie z „naszymi” volksdeutschami — przez których byliśmy zwykle uprzedzani o różnych „historiach” i innych wiadomościach, które zresztą nigdy nas nie zawiodły (kilku z nich było niegdyś podoficerami w Wojsku Polskim), otrzymaliśmy zapewnienie — że w razie czego — pójdą z nami i oddadzą nam klucze od magazynów broni. Co prawda kluczy byśmy od nich nie potrzebowali, ale oni sami, będąc zresztą nieprzyjemnymi, dwulicowymi typami, w tym piekle bardzo nam się przydawali, a mogli się przydać jeszcze więcej. Wiadomo było, że obozy, do których jedziemy są najlepsze w Niemczech, że się zasadniczo nie warto wykręcać, bo potem będą transporty do obozów gorszych.

Ja byłem wyczytany zaraz pierwszej nocy. Miałem jechać do obozu w Neuengamme. Trzymano nas zamkniętych przez resztę nocy w bloku 12a i 19. Nazajutrz staliśmy w szeregach na „brzozowej alejce” przez cały dzień, badani przez komisję lekarską. Badanie przeciągało się do następnej całej nocy. Stałem obok mego przyjaciela — Tadzia (płk Tadeusz Reklewski) i Kazia (Kazimierz Radwański) przeznaczonych do Buchenwaldu.

Myśl moja pracowała gorączkowo. Wyjazd dla mnie oznaczał przekreślenie roboty tutaj. Trzeba się było decydować. A jechała taka nasza zgrana paczka kolegów — przyjaciół.

Przyjaźń w rozumieniu łagrowym była pojęciem uczucia stojącego na wiele wyższym poziomie niż to, co się nazywa przyjaźnią u ludzi na wolności. Nieraz, narażając własne życie, ratowało się życie przyjaciela i nieraz szło się potem za to do karnej kompanii, gdzie ginęło się w krótkim czasie.

W myśli przebiegłem szybko sylwetki, klasyfikując indywidualności i dodając do nich obecne, na przykład: rozstrzelany, zginął inną śmiercią, żyje, jedzie czy nie. A było w czym się rozejrzeć.

Specjalnie chcę tu wymienić nazwiska kolegów więźniów, którzy — poza długim szeregiem innych, a wszystkich wymienić się nie da — zasłużyli na wyróżnienie swoją pracą w naszej Organizacji w Oświęcimiu, gdyż *sądzę, że kogoś w przyszłości powinno to jednak obchodzić*. Poza już wymienionymi wyżej *pracowali więc koledzy wymienieni na osobnym arkuszu* od numeru osiem do numeru dwieście osiem. Szczególnie wiele w ostatnim półroczu (o czym piszę osobno) zrobili kpt. dr Władysław Dering i dr Rudolf Diem. W osobnym dziale ppor. Bernard Świerczyna. Odseparowany, lecz silny umysłem Henryk Szklarz, poza tym przeniesiony do Brzezinki z upoważnieniem wachm. Stefan Gąsiorowski, dzielnie poczynający w obliczu śmierci — kpt. dr Henryk Suchnicki. Wyłączenie prądu z ogrodzenia, opanowanie stacji radiowej — pdch. rez. Zbigniew Ruszczyński i pdch. Antoni Rosa oraz niezapomniany nigdy „Wernyhora” — Jan Mielcarek.

Z pamiętnej herbatki pierwszych pionierów w Warszawie w domu numer czterdzieści spotkałem tu rtm. rez. Jerzego de Virion, którego pomimo wysiłków, z załamania duchowego i żartego przez „krecę”, nie udało się już wyratować. Stanisław Ozimek, który był tu przejazdem do kamieniołomów i Jan Dangel, którego udało się zrobić „na chorego” i wysłać do Dachau. Poza tym w planowaniu byłem stale w kontakcie z członkiem naszej Organizacji płk. Teofilem Działą i przyjacielem moim, Tadzkiem, płk. Tadeuszem Reklewskim, dzielną jednostką, który żył pomimo wycieńczenia, chyba tylko dzięki sile woli, dając świetny przykład innym, a z którym właśnie staliśmy obok bezpośrednio przed momentem badania nas przez komisję lekarską.

Tadzio cieszył się, że jedzie do Buchenwaldu, że jest to jeden z najlepszych obozów, że podobno mają nas tam rozesłać na wolne roboty do Niemiec i tym podobne. Tadzio i Kazio byli więc zdania, że lepiej jest jechać, ja też im szczerze tego życzyłem, gdyż był

to — tak samo jak Neuengamme — najlepszy obóz. Wkrótce miał nastąpić moment badania nas.

Po rozważeniu wszystkiego i pewnym łamaniem się wewnętrznym zdecydowałem, z czym — po zastanowieniu — zgodził się Tazio, że moim obowiązkiem ze względu na Organizację jest jeszcze na razie pozostanie w tym piekle i że niestety musimy się pożegnać.

Należało więc szybko działać. Zbliżał się decydujący moment: albo-albo. Byłem zdrowy i ważyłem siedemdziesiąt pięć kilogramów. Szybko nałożyłem przyniesiony mi przez jednego z przyjaciół — Staśka, przyjaciela „Teddyego”, który na razie umknął transportu — pas na rupturę³⁸, której nigdy w życiu nie miałem, i stanąłem przed komisją.

Była godzina druga w nocy, komisja była zmęczona. Tazio, który w porównaniu ze mną był chudzielcem i o kilkanaście lat starszym, został przyjętym do transportu, lecz gdy ujrano mnie, bez słowa pokazano mi wyjście — „chwyciło” więc. Przez blok transportowy wróciłem do bloku „własnego”, a nazajutrz do normalnej pracy.

Lekarze w czasie przeglądu kiwali z podziwu głowami, patrząc na rozrośnięte, rozwinięte, umięśnione, dobrze odżywione ciała więźniów Polaków. Tu był widoczny skutek pracy. Wiele się przyczyniła do tego „kanada”. Od czasu rozpoczęcia gazowania większych transportów głodu w sensie lagrowym nie było, a połowa Polaków (zorganizowanych) miała wszystkiego dosyć, poza tym od listopada 1942 r. otrzymywaliśmy paczki żywnościowe.

10 marca wywieziono razem pięć tysięcy Polaków. Tysiąc do Neuengamme, tysiąc do Buchenwaldu, tysiąc do Sachsenhausen, tysiąc do Gross-Rosen i tysiąc do Flossenbürga.

Ponieważ zasadniczy szkielet Organizacji Wojskowej potrafił się od transportów wykręcić, więc pracowaliśmy dalej.

W tydzień potem zrobiono znowu komisję dla wszystkich pozostałych Polaków, celem odciążenia pracy przy wysyłaniu następnych transportów i notowano na listach na stałe koło numeru kategorię „A” lub „U”. Było to dla mnie zaskoczenie: dostać na stałe kategorię „A” — to jechać następnym transportem, dostać „U” — to znaczy być uznanym za niezdolnego do pracy. Co prawda „U” niby mieli wysyłać do Dachau, ale nikt nie mógł zaręczyć, czy w wypadku „potrzeby szaszprycowania” fenolem lub zagazowania nie będą brać z tego zapasu „U”. Zdecydowałem więc się na kategorię „A”, którą też dostałem i postanowiłem wystarać się o wyreklamowanie jako „niezbędny” pracownik. Chociaż zasadniczo zostawiali fachowców, ale trudno było udawać fachowca w „kmando”, gdzie pracowałem, gdyż ostatnio pracowałem na poczcie w paczkarni. Jednak udało mi się spośród czterdziestu więźniów, należących do dwóch zmian pocztarzy, znaleźć się wśród pięciu „reklamowanych” i dlatego nie zostałem wcielony do dwóch następnych transportów, Polaków wywiezionych 10 i 11 kwietnia do Mauthausen (*dwa tysiące pięćset zdrowych Polaków*).

Ta druga komisja lekarska klasyfikująca Polaków na kategorie „A” i „U” głośno wyrażała podziw nad doskonałym naszym stanem fizycznym, mówiąc: „Co za regiment można z takich wystawić, gdzie tu się tacy uchowali?”

Przy masowych rozstrzeliwaniach lub gazowaniach „Krankenbau” otrzymywało listy z numerami delikwentów i poleceniem podawania do głównej „Szrajbsztuby”, po pięćdziesiąt numerów dziennie, jako zmarłych na serce, tyfus lub inną chorobę „naturalną”. Zawiadomienie do rodziny wysyłane było tylko na specjalne zarządzenie politycznego oddziału i czasami po pół roku rodzina wierzyła, że jej bliski więzień jeszcze żyje, tylko nie pisze i posyłała mu paczki.

Pracowałem ostatnio w paczkarni, gdzie codziennie wysortowywano wielką ilość paczek żywnościowych, przeznaczonych dla kolegów, którzy już nie żyli. Dozorujący esesmani skwapliwie odkładali lepsze paczki, które kosztami wynoszono do kasyna esesmanów. Gorsze zaś paczki zmarłych przeznaczano do kuchni „haftlingowskiej”. Ponieważ szef paczkarni był jeszcze możliwym esesmanem (Austriak), więc po nadesłaniu zmarłemu kilku paczek starał się jakoś tę rodzinę na przyszłość od tego powstrzymać. W tym celu odsyłał którąś z kolei paczkę z powrotem, stawiając na niej pieczęć: „*Neue Anschrift abwarten*” i tym przerywał ciąg paczek od rodziny. Pomimo pierwotnego zakazu wysyła-

³⁸ruptura — przemieszczenie się narządów wewnętrznych, zwykle jelit, do nieprawidłowego uchyłka jamy ciała. [przypis edytorski]

nia większych niż dwustupięćdziesięciogramowe, paczki przychodziły ogromne, czasami całe walizy. Wszystkie one były doręczane bez konfiskaty. Zależało to, ma się rozumieć, od szefa. Szczególnie cieszyły esesmanów paczki czeskie, gdyż prócz ciasta, cukru zawsze zawierały wina, pomarańcze, cytryny. Wina były konfiskowane urzędowo — lecz Czesi lub Żydzi francuscy, otrzymujący również bogate paczki, przeważnie już nie żyli — więc całe paczki szły dla esesmanów.

Od czasu do czasu w bloku zjawiali się wieczorem esesmani. Zbierali Żydów i kazali im pisać listy do domów z sakramentalnym: „Jestem zdrow i dobrze mi się powodzi”. Listy te sprowadzały nowe partie Żydów, którzy na wiadomość o tym, że ich współwynawcom tak się dobrze powodzi, chętniej zgłaszali się „na roboty do Niemiec” oraz nowe paczki dla esesmanów, gdyż autorzy listów przez ten czas byli wykańczani.

Wywożenie Polaków tłumaczone było nam przez kapów i niektórych esesmanów jako skutek organizowanych przez Polaków ucieczek i kontaktów z ludnością cywilną.

Wśród esesmanów byli i tacy szefowie „komand”, w paru przypadkach Austriacy, którzy dawno już żył z więźniami-Polakami, zjadający chętnie organizowane przez Polaków żarcie, nieraz przepraszając się tłumaczyli, że przecież nigdy żadnego Polaka nie uderzyli, dając tym samym jasno do zrozumienia, że z chęcią uciekliby razem z jednym lub paroma „Haftlingami”, byle by im zabezpieczyć gdzieś *locum* do końca wojny w Polsce. W lutym 1943 r. było dwóch takich esesmanów, którzy twierdzili, że „już czas” (wypadek z kolegą pdch. rez. Zbigniewem Goszczyńskim oraz kolegą por. rez. Marianem Moniczewskim).

Należy tu jeszcze chociaż w paru słowach podkreślić, co prawda nie wszystkich, dzielną postawę księży. Początkowo ksiądz w ogóle dłużej niż parę dni nie żył. Zabijano ich pałkami na placu (tak samo jak Żydów) zaprzęgniętych do walca lub przy innej jakiejś „pracy” wymyślonej specjalnie dla udręczenia. Następnie — na początku roku 1941 — na interwencję z Rzymu księża zostali wywiezieni do Dachau, gdzie podobno mieli zupełnie znośnie. Następny transport księży do Dachau nastąpił latem 1942 r. W okresie właśnie pomiędzy tymi transportami poznałem kilku dzielnych księży, między innymi i ks. Zygmunta Ruszczaka (nr 9842), który był naszym (Organizacji Wojskowej) kapelanem. Pomimo, zdawałoby się, niemożliwych warunków, prócz spowiedzi mieliśmy (tajne) nabożeństwa. Wino i opłatki dostawaliśmy z zewnątrz.

Uciezki. Od początku obozu i przez okres mego tam pobytu było szereg prób ucieczek, mniej więcej w połowie udanych, które różnym echem odbijały się w sercach nas — więźniów, w zależności od reagowania na takowe władz lagru, a w reakcjach tych zachodziły czasami zasadnicze zmiany.

Pierwsze uciezki, organizowane prymitywnie poprzez pojedyncze wówczas ogrodzenie z drutów nienaładowanych prądem, w nocy lub w czasie pracy poza drutami, chowając się na noc w szopach, barakach i innych zasłonach terenowych, w skutkach przynosiły *stójki całego lagru* w szeregach na placu, „rzucanie się” i bicie więźniów przez wściekłych esesmanów, szykany w blokach, szukanie. Czasami znajdowano schowanych zbiegów na terenie pracy („Industriehof I” i „Industriehof II”). Ginęli zabijani bezpośrednio po znalezieniu lub kierowani byli do bunkra.

Pierwszy więzień, który „zwał” w pierwszych miesiącach istnienia obozu nosił, jakby na złość władzom lagru nazwisko — Wiejowski. Koledzy zapłacili wtedy za to *wygórowaną cenę*. Wszyscy więźniowie stali w szeregach na placu bez jedzenia i możliwości wyjścia do ubikacji, osiemnaście godzin bez przerwy. W dzień mdleli z upału, w nocy trzęśli się z zimna. Pod koniec stójki stan był oplakany (połowa leżała).

Z biegiem czasu stójki stały się coraz krótsze i przeważnie staliśmy do chwili znalezienia zbiega. W razie niezalezienia, parę godzin do wieczornego apelu. Czasami jednak i tych kilka godzin *dawało się we znaki*. Tak na przykład 28 października 1940 r. padał deszcz ze śniegiem (płaszczy i czapek nie mieliśmy). Należałem do przeważającej większości tych, którzy nie mieli również skarpetek. Czapkę dostałem 8 grudnia 1940 r. Zanim znaleziono i *zabito zbiega*, zmęczenie, brak stawy i chłód spowodowały, że około stu czterdziestu *slabszych więźniów* razem z zakończeniem stójki *zakończyło swój żywot*.

Z czasem stójki z powodu uciezki stały się jeszcze krótsze, obliczone tak, by był czas na zjedzenie kolacji przed gongiem do spania. Nie wykluczało to wypadków, kiedy władze

— szczególnie w dzień mroźny lub dżdżysty — *trzymały nas godzinami* podczas apelu na placu.

Chociaż *nikt nie uciekł*, nie mogli się niby doliczyć stanu więźniów. Sami szli pod dach „na obliczenia”. Było to *tendencyjne wykańczanie nas*.

W końcu listopada 1941 r. w czasie nieobecności komendanta obozu i zastępstwa, mieliśmy „Tydzień Seidlerowski”.

Codziennie po powrocie z pracy do obozu *jakkolwiek nikogo nie brakowało, staliśmy na apelu* wieczornym prawie do samego gongu do spania i potem szybko połykaliśmy zimną jak lód zupę. Był przejmujący wiatr, mróz laził nam po plecach, głowach i kończynach i *trzeba było się bronić całym wysiłkiem organizmu przed zaziębieniem*.

Od wiosny 1941 r. ucieczki zaczęły się powtarzać częściej. Wtedy władze wpadły na pomysł zastosowania *odpowiedzialności solidarnej* całego bloku i za ucieczkę jednego wybierano z bloku *dziesięciu więźniów, którzy szli na śmierć*, na kilka dni — do zakończenia poszukiwań — do bunkra, a potem byli kończeni przez rozstrzelanie lub którymś z innych sposobów. Moment wybierania przez komendanta dziesięciu na śmierć był *ciężkim przeżyciem* dla całego bloku, chociaż zdarzały się bardzo wzniosłe momenty, jak na przykład ofiarowanie swego życia przez jednego staruszka — księdza — za życie młodego chłopca, którego na śmierć wybrano, a którego przy życiu zostawiono, przyjmując ofiarę księdza.

Wtedy nasza Organizacja negatywnie ustosunkowała się do ucieczek. W ciągu roku 1941 żadnych ucieczek nie organizowaliśmy i potępialiśmy wszystkie dzikie odruchy w tym kierunku.

Z dniem nadejścia pisma z Berlina (wiadomość od naszych „piątkarzy” z politycznego oddziału) zakazującego — podobno na skutek takich samych represji zastosowanych w obozach założonych dla Niemców — represje w obozie Oświęcimiu skazujące dziesiątki za jednego zbiega zostały *skasowane* i odżyły możliwości i plany ucieczek.

Wtedy — od wiosny przez rok 1942 — organizowaliśmy ucieczki, o których wspominałem.

Poza tym na początku 1943 r. (w lutym) „poszło” siedmiu kolegów przez SS-kuchnię.

Brak odpowiedzialności więźniów za ucieczki kolegów, zlikwidowanie nie tylko kary śmierci lecz również kary bunkra, a od początku 1943 r. brak nawet stójek (w roku 1943 z powodu ucieczek wcale nam nie przedłużano stania na apelu), poza tym wydawanie więźniom pracującym w obrębie drutów cywilnych ubrań (pochodzących z „kanady” i pomalowanych w czerwone pasy), *usposabia więźniów do ucieczek*, stąd też władze obozu wzięły się na nowy sposób.

Ogłoszono w blokach, że za ucieczką więźnia do obozu zostanie przywieziona cała jego rodzina. Pewnego dnia zrobiono nawet taki „teatr”. Po powrocie z pracy oczom kolegów przedstawił się nieprzyjemny obrazek: pod słupkiem z tablicą, na której było napisane o „niemądrym postępku jednego z więźniów, który ratując się ucieczką naraził życie matki i swojej narzeczonej, które na skutek jego lekkomyślności przywieziono do obozu”, a które właśnie stały pod słupkiem w asyście esesmana.

Na razie trafiono nas w samo serce. Cóż to za drań mógłby rozmyślnie narazić Matkę lub narzeczoną. A nawet wystarcza, że to była kobieta. Kilka lat odosobnienia od płci innej też miało swe znaczenie. Byliśmy na punkcie kobiety zbyt czuli, toteż pierwszego wieczora obóz pomstował na drania, co naraził staruszkę i taką miłą narzeczoną. Wkrótce okazało się, że miały na mundurach numer o wiele niższy, niż był bieżący w lagrze kobiecym. Sztuczka więc była szyta zbyt grubymi nićmi jak dla nas. Nazajutrz już dowiedzieliśmy się, jaki jest numer bieżący w kobiecym lagrze i że było to „robione” tylko dla wywołania wrażenia. Nastąpiło więc odprężenie i tym bardziej zachęciło do ucieczek niektórych więźniów.

Wtedy „poszło” znowu dwóch kolegów.

Jednak zupełnej pewności, że rodziny się nie naraża, nie było, toteż większość kolegów na samą myśl o ucieczce — wzdygała się.

Jeszcze jeden raz widzieliśmy jakąś młodą i miłą niewiastę pod słupkiem z napisem, ale większe wrażenie zrobiło już tylko na „cugangach”.

Od połowy roku 1942 złapanych po nieudanej ucieczce więźniów wieszano publicznie i ostentacyjnie, przy czym wieszali ci, co sami po dwóch tygodniach powieszeni być mieli. Robiono to dla większego ich udęczenia.

Od początku roku 1943 byłem w kontakcie z bohaterem Montelupich — „Szczęściarzem” kolegą Aleksandrem Bugajskim, który miał wyrok śmierci, nie łudził się, że zostanie tu wykończony i zbliżył się do mnie w celu dopomożenia mu w zorganizowaniu ucieczki. Zaproponowałem mu drogę, którą miałem sam na wszelki wypadek, a dla wykorzystania której pracowałem na nocnej zmianie poczciarzy. Jednocześnie (w grudniu 1943 r.) projekt ucieczki podał mi ppor. rez. Witold Wierusz, który pracował w komandzie mierników (czasami o kilka kilometrów od obozu). W projekcie tym był jednak pewien warunek: jeśli się nie uda inaczej, a cofnąć się nie będzie można, to pozostanie wyjście za pomocą „roboty mokrej”, do czego ustosunkowałem się negatywnie z powodów niżej podanych.

Wyjście z obozu było już w zasadzie nielatte, potęgowane jeszcze tym, że należało tak wyjść, by nie pociągnęło to za sobą śmierci kolegów, a to właśnie było trudne.

Czasami w niektórych komandach, pracujących o parę kilometrów od obozu, ucieczka „aż się prosiła”, by ją zorganizować, lecz na przeszkodzie stawało — ironia losu — życie jednego lub paru esesmanów, których śmierć, otwierająca drogę do wolności, groziła odebraniem życia wielu kolegom Polakom i w ten sposób zorganizowana ucieczka byłaby bezwzględny egoizmem, na co nie mógłby się zdecydować dobry Polak.

Należało więc ucieczkę „montować”, biorąc pod uwagę nie tylko jej powodzenie, lecz również echo takowej w obozie.

Po wprowadzeniu pewnych poprawek w planie ppor. rez. Witolda Wierusza zaznajomiłem go z kolegą Aleksandrem Bugajskim. Ponieważ „Szczęściarzowi” Aleksandrowi Bugajskiemu plan ppor. rez. Witolda Wierusza wydał się mniej ryzykowny niż mój, więc się przeniósł do komanda, gdzie pracował ppor. rez. Witold Wierusz i przygotowywał tam ucieczkę, a po paru dniach „Szczęściarz” zaproponował mi, że będzie przygotowywał tam również ucieczkę i dla mnie.

W dniach 10 i 11 kwietnia 1943 r. (jak już wspomniałem) wywieziono w dwóch rzutach (obydwa do Mauthausen) dwa tysiące pięciuset Polaków. To *ostatecznie wpłynęło na moją decyzję*. Dalszy mój pobyt w Oświęcimiu uważałem za niekonieczny. Dotychczas, co mogłem, to robiłem. „Lepsza” połowa kolegów wyjechała. Czekanie na „coś” nie dało rezultatu. Odgrązano się, że wywiozą i resztę Polaków. Sądząc, że teraz może już większe korzyści przyniosę z zewnątrz niż wewnątrz — *zdecydowałem się obóz opuścić*.

Drugim momentem, który mnie skłaniał do opuszczenia obozu, była od początku marca krążąca po obozie wiadomość, że Janusz Kuczbara został złapany w Warszawie i jest na Pawiaku. Rozumiałem, że ten człowiek bez skrupułów — chcąc ratować własne życie — może zacząć sypać „górze” naszej Organizacji, tym bardziej, że bez żadnej potrzeby — chciał to zrobić jeszcze w lagrze (w stosunku do płk. Juliusza Gilewicza i kolegi Henryka Bartosiewicza). Na ten temat rozmawiałem 11 kwietnia 1943 r. z kolegą ppor. rez. Leonem Murzynem.

Mając na względzie moje „wyjście” z obozu, odbyłem parę rozmów z mjr. Zygmuntem Bończę-Bohdanowskim i kolegą Henrykiem Bartosiewiczem, informując ich o tym i *powierając im dalszą pracę*.

Dnia 13 kwietnia rozmawiałem z kolegą kpt. Stanisławem Machowskim, któremu powiedziałem, że po dwuipółletnim wyczekiwaniu nie mam już teraz chęci ani *potrzeby* zostawać tu dłużej. Może się uda z zewnątrz prędzej przyjść z pomocą kolegom w lagrze. Kolega kpt. Stanisław Machowski odpowiedział na to: „Tak, ale czyż można kiedy się chce przyjeżdżać i kiedy chce wyjeżdżać z lagru?”. Powiedziałem: „Można”. I rzeczywiście miałem możliwość od paru miesięcy wyjścia co noc z obozu, chociaż dosyć nieprzyjemną i trochę ryzykowną. Poza tym „Szczęściarz” przygotował drugą drogę.

Przypadkowo jednak poszedłem zupełnie inną drogą, tamtą (pierwszą) zostawiając wtajemniczonym kolegom: Henrykowi Bartosiewiczowi, mjr. Zygmunutowi Bończę-Bohdanowskiemu, Zdzisławowi Uliaszowi i Andrzejowi Gąsienicy.

Przed wyjściem rozmawiałem jeszcze z kolegą „Tadkiem” na temat jego łączności z Warszawą i braku zleceń. Mówiąc mi o swojej łączności, powiedział, że *„teraz Warszawa o Oświęcimiu już inaczej myśli”*. Nie wiem, co miał na myśli i decyzji nie zmieniłem.

Przygotowany termin wyjścia z obozu przez Aleksandra Bugajskiego — nieszczęśliwie dla niego zbiegł się z dowcipną ucieczką nocą kolegów z obozu w Brzezince przez tak nazywaną przez nas „beczkę Diogenesa”. Wzięcie wszystkich żołnierzy na poszukiwanie zbiegów (brak „Postów”) spowodowało zamknięcie lagru. Nie wypuszczano nas do pracy przez trzy dni, co władze wykorzystały na odwszenie lagru. W ciągu tych paru dni szef i kapo komanda, gdzie pierwotnie pracował Aleksander Bugajski (poczta — paczkarnia), zorientowali się, że „Szczęściarz” przeniósł się do nowego komanda samowolnie, że może to być podciągnięte pod „*chęc dokonania ucieczki*” i w rezultacie zamknięto Aleksandra Bugajskiego w karnej kompanii *za samowolną zmianę komanda pracy*. W dniu następnym po tej nocy z „beczką Diogenesa” mieliśmy próbować „wyjścia”.

Tak więc w tym wypadku „Szczęściarzowi” się nie powiodło. Musiałem kombinować inaczej.

Jeden z moich kolegów, Jan Redzej, będąc w komandzie, które przewoziło do obozu chleb z piekarni w mieście zauważył, że są tam wielkie, żelazne drzwi, bardzo na pozór groźne, lecz mogące się stać drzwiami na wolność. W celu przyjrzenia się im potrafił na parę dni przenieść się, za zezwoleniem kapo, do piekarni. Praca w piekarni jest bardzo ciężka, musi się wypiec dziennie określoną ilość tysięcy bochenków chleba. Za niewykonanie normy pracy maszeruje się nazajutrz do bunkra. Pracuje tam kilku cywilnych piekarzy i kilku więźniów. Przez tych kilka dni, starając się przyrzeć dokładniej drzwicom, kolega Jan Redzej stracił sześć kilogramów wagi własnej, a był on dziewięćdziesiąt pięć kilogramów ważącym drabem. Ostatecznie zdecydował, że po zastosowaniu nawet pewnych kombinacji drzwi się jednak nie otworzą i wrócił do swego „komanda”.

Po rozpatrzeniu sprawy razem *powzięliśmy pewien plan, który też wykonaliśmy*.

Ja go przez „arbeitsdiensta” (pośrednictwo kolegi Wacława Weszke) zupełnie formalnie ulokowałem w piekarni. Wykorzystaliśmy nastrój świąt wielkanocnych w obozie i mniejszą czujność fetujących władz. W wielką sobotę wprowadziłem w błąd władze mego bloku i mego komanda, by nie ściągnąć na kolegów z bloku i pracy represji, i udając chorego przenieśliem się na „*Krankenbau*” — dla większego bezpieczeństwa — do bloku 20, tyfusowego, gdzie bardzo niechętnie zaglądały wszelkie władze. Pierwszego dnia świąt (niedziela) „byłem chory”, gdyż piekarnia nie pracowała. Drugiego dnia świąt (poniedziałek) musiałem wyjść ze szpitala, gdyż piekarnia zaczynała pracę, poza tym zmiany wśród pracowników zaraz po okresie świątecznym mniej rzuciły się w oczy.

„Dowcip” polegał na tym, żeby wbrew przepisom lagrowym wyrzucili mnie do innego bloku, a nie do mojego z powrotem, jak to normalnie musieliby zrobić i żeby tym blokiem był blok 15, gdzie mieszcili się piekarze. Żeby mnie wbrew przepisom szpitalnym w ogóle po dwóch dniach wyrzucili z bloku tyfusowego, skąd nie wolno było wyjść bez kwarantanny i żeby mnie — zdrowego już — nie widział nikt z pracowników mego komanda lub władz mego bloku, którzy w czasie gdy „robiłem się” piekarzem (wchodziłem do nowego bloku i do nowej pracy), musieli być przekonani, że jestem chory.

Formalności związane z wejściem do szpitala i wyjściem do innego bloku załatwił mi kolega Edward Ciesielski (wejście przy pomocy Mariana Tolińskiego, wyjście przy pomocy Władysława Fejke). Przypuszczając, że może on ponieść odpowiedzialność za ułatwienie mi ucieczki, zaproponowałem mu wspólne „wyjście” (niedziela wieczór). Poza tym na moją decyzję zaproponowania Edkowi Ciesielskiemu ucieczki, co w pierwszej chwili zmuszało do pewnych nowych posunięć w planie, wpłynęło i to, że siedział on za broń i stale mówił, że czeka, kiedy wywołają jego numer celem rozstrzelania. W ciągu dwóch lat przy spotkaniu ze mną kończył zawsze rozmowę słowami: „no, panie Tomku, na pana tylko liczę”. Niechże się więc nie zawiedzie. Porozumieliśmy się z Janem Redzajem i po szybkiej własnej decyzji Edward Ciesielski zerwał z bardzo dobrą posadą w bloku szpitalnym. Rano drugiego dnia świąt (poniedziałek) razem ze mną zjawił się w bloku 15, gdzie mieszkali piekarze.

Po wprowadzeniu w błąd również władz tego bloku oraz kapo od piekarzy, ten ostatni myślał, że blokowy otrzymał formalne kartki od „arbeitsdiensta” (kartek od „arbeitsdiensta” nie chciałem brać, by go nie narażać na podejrzenia o ułatwienie mi ucieczki), a blokowy sądził, że przychodzimy do bloku jako nowi piekarze do nowo powstałej piekarni mechanicznej w porozumieniu z kapo. Musieliśmy jeszcze przełamać opór dwóch więźniów, piekarzy, co okazało się najtrudniejsze.

Musieliśmy tym dwóm piekarzom czymś trafić do przekonania, żeby ustąpili nam swych miejsc pracy na noc, gdyż dezorientacja wszystkich oszukanych władz lagrowych nie mogła być długotrwała i liczyliśmy ją na godziny. Musieliśmy się więc śpieszyć, a tu jak po grudzie szła nam rozmowa z dwoma piekarzami, którzy nie mogli zrozumieć powodu naszego zapału do pracy w nocy, a chodziło o to, żeby nie zrozumieli. Mieli obawy, że ich chcemy pozbawić pracy przy chlebie. Wreszcie pokonałszy i tę przeszkodę.

Szedłem więc już na całego. O ile powrót do lagru Jana Redzeja, po nieudanej ewentualnie nocy, był zupełnie możliwy, gdyż niczym by się nie różnił od dnia zwykłego, pracował już stale jako piekarz, również dla Edwarda Ciesielskiego byłby możliwy, gdyż z władzami poprzedniego bloku i porzuconej pracy załatwił wszystkie niezbędne formalności, musiałby jedynie zmienić pracę, bo na stanowisku piekarza by nie wytrzymał, o tyle mój powrót do lagru po nieudanym wyjściu w nocy przyniosłby mi przeniesienie mnie do karnej kompanii, bo niczym nie mógłbym wytłumaczyć zjawienia się w obcym bloku, pójsia jako piekarz na nocną zmianę, gdy miałem swoje komando, kiedy ani kapo, ani szef nic o moim zwolnieniu z „komanda” nie wiedzieli, tym bardziej, że była to „paczkarnia”, której władze w wiadomy sposób postąpiły w identycznej sprawie ze „Szczęściarzem”, Aleksandrem Bugajskim. Przenieść się zaś formalnie z paczkarni nie mogłem, gdyż zaledwie kilkanaście dni wcześniej wystarano się o moje „wyreklamowanie”, jako dla *niezbędnego* tu pracownika.

Postanowione więc było nie wracać. Przedtem jednak *trzeba było wyjść.* Kapo Czech, długo się upierał, że dziś może pójść do piekarni jeden, a jutro drugi (poza Janem Redzejem, który chodził codziennie). *Jakkolwiek wewnątrz gotowało się w nas jak w ukropie, na zewnątrz udawaliśmy zupełnie obojętnych.*

Sprawę z kapo załatwił Jan Redzej, tłumacząc, że to dwóch „frajerów”, którzy „nacięli się”, myśląc, że w piekarni jest łatwa praca i że wobec tego najlepiej ich wziąć na noc, a już on da taką szkołę, że niedługo w komandzie wytrzymają i odechce im się już po dzisiejszej nocy. Najtrudniej jednak było przełamać opór dwóch więźniów piekarzy. Wreszcie wszyscy byli „zrobieni” mową Jana Redzeja, konfiturami, cukrem, jabłkami — z paczek ode mnie, no i wiele dopomógł wesoły nastrój drugiego dnia świąt.

Godzina 18:30. Od bramy esesman woła: „*Bäckerei...*” Wybiegamy. Biegając do bramy, widzę wielu spacerujących więźniów i trzy zdziwione na mój widok twarze (ppor. rez. Jerzego Olszowskiego, Zdzisława Uliasa, Mieczysława ...rowca). Są to jednak wszystko moi dobrzy przyjaciele. Liczą nas. Jest akurat tylu, ile trzeba — ośmiu. Znaczą, że tamci dwaj zrezygnowali na dzisiejszą noc. Gdyby było o jednego za dużo, to jeden z nas nowych musiałby zostać. Otacza nas czterech esesmanów. Idziemy. Jesteśmy za bramą. Ileż ją razy przekraczałem myśląc: „kiedy już nie będę potrzebował do niej powrócić”. Dziś wychodzę z myślą, że *powrócić w żadnym wypadku nie mogę.*

Nie da się opisać nastrojów. W każdym razie pewność zupełnego zdecydowania do dała jakichś skrzydeł do ramion. W miasteczku rozdzieliliśmy się na dwie grupy. Dwóch więźniów i dwóch esesmanów idzie do małej piekarni, a my — sześciu z dwoma esesmanami — poszliśmy do wielkiej (co było już z góry ułożone z kapo), by nas tam „poddać ciężkiej próbie”, co powierzone było koledze Janowi Redzejowi.

Przez noc musi się zrobić pięć wypieków chlebów. Pracowaliśmy ciężko — poza kolegą Edwardem Ciesielskim — który już na początku pracy „zainscenizował” wypadek z workiem i zwichnięciem (skarżył się na ból w krzyżu). Wszyscy jednak symulować nie mogliśmy.

Mieliśmy próbować szczęścia po pierwszym lub drugim wypieku. Tymczasem przeszedł drugi, trzeci, czwarty — a my nie mogliśmy się ruszyć. Sprawę utrudniało to, że w poniedziałek była zawsze zmiana „postów”. Dziś właśnie był poniedziałek. Pod koniec tygodnia oni się przyzwyczajali już do pracowników i do drzemek i bywali prawie zawsze już „klapnięci”. Od poniedziałku — nowi — byli „tą nową miotłą”. A tu jeszcze w bramie, przy wyjściu z lagru, głośno im przy nas zapowiedziano: „*Pass auf*”³⁹ — tak że pomyślałem: „Czyżby się czegoś domyślali?”. W piekarni jeden z nich „przyczepił się” do „naszych” drzwi, szczegółowo je oglądając, kręcąc głową i mówiąc, że są niepewne. Dopiero Jan Redzej musiał użyć swoich wpływów, by go przekonać.

³⁹*pass auf* (niem.) — uważaj, uważajcie. [przypis edytorski]

Gdy minął poniedziałek i o 12:00 zaczął się wtorek, sytuacja poczęła się korzystniejsza (tylko jeden z postów był przytomny, drugi chrapał), chociaż wciąż jednak dość trudna.

Pracowaliśmy rozebrani. Gorąco z pieców wyciskało z nas setne już poty. Wlewaliśmy w siebie ogromną ilość wody. Niemożliwością byłoby odtworzyć nasze ruchy, a raczej gmatwaninę poruszeń i przebiegów *w celach zupełnie ze sobą sprzecznych*: nadszanie z pracą dla panów majstrów piekarskich, przygotowania do otwarcia drzwi i skokiem po ubrania. Wszystko maskowane przed czuwającym i chodzącym czasami w ślad za nami żołnierzem. Poza tym, dopóki drzwi były zamknięte, nie mogliśmy na sto procent być pewni, że po usunięciu wszystkich przeszkód na pewno się otworzą, dlatego że jeden zaczep był *od zewnątrz*.

Miałem takie uczucie, jakie się ma przy stawianiu pasjansa, spotęgowane faktem, że stawką było życie. Tak jak w pasjansie zależało wszystko od szeregu szczęśliwych zestawień kart i ich stasowania, tak tu musiały zajść szczęśliwe zbiegi okoliczności, by drogi kursujących, przebiegających w różnych kierunkach piekarzy, a krzyżujące się ze śladami łączącego z kąta w kąt żołnierza, dały w rezultacie taki moment, gdy żadne oko na drzwi nie będzie skierowane. Jednocześnie musiało to się zbiec z momentem, kiedy my wszyscy trzej bylibyśmy w pobliżu drzwi i moglibyśmy nieznacznie zrobić skok po ubrania, jednocześnie otwierając drzwi. Nad wszystkim wisiał jak miecz Demoklesa mus wyjścia, szczególnie po wycięciu kilku centymetrów kabla nad głowami „postów”. Możliwości wyjścia z minuty na minutę to się zwiększały, to znów malały — z minuty na minutę napięcie nerwów potęgowało się i słabło.

Kiedy Edward Ciesielski zdecydowanie i dość sprytnie „zoperował” już telefon, a Jan Redzej odsunął rygle u drzwi i odkręcił mutrę, wypychając zaczep spinający dwie połowy drzwi od zewnątrz i dawał mi znaki, byśmy razem ramionami drzwi wsparli i podważyli, wtedy „post” *podszedł do drzwi, by je sprawdzić*. Obserwując to z odległości paru kroków czekałem chwili jego krzyku. Dlaczego nie zauważył odsuniętych rygli, przeciętego kabla ani ubranego do drogi Jana Redzeja, który udawał, że jest w ubikacji, pozostanie dla mnie na zawsze niezrozumiałym (musiał i on sam nazajutrz w bunkrze nad tym się zastanawiać).

Nareszcie moment odpowiedni. Podbiegam do Jana Redzeja, jednocześnie Edward Ciesielski przymyka na chwilę inne drzwi, osłaniając nasze działanie przed stojącym w odległości sześciu kroków „postem”. Naciskamy szybko, a mocno z Janem Redzejem na drzwi, jeszcze mocniej, wreszcie cicho i gwałtownie zarazem rozwarły się przed nami. Widzimy gwiazdy, powiało przyjemnym chłodem. Skok i pęd z ubraniami pod pachą. Tak więc — w towarzystwie Jana Redzeja⁴⁰ i Edwarda Ciesielskiego⁴¹ opuściłem obóz w Oświęcimiu, żegnany strzałami wartownika, który o chwilę za późno się zorientował.

Wyszedłem w nocy — tak samo, jak przyjechałem — byłem więc w tym piekle dziewięćset czterdzieści siedem dni i tyleż nocy. Było już po godzinie drugiej, a więc najwyższy czas na ucieczkę (noc z 26 na 27 kwietnia 1943 r.).

Wychodząc miałem o kilka zębów mniej niż w momencie mojego tu przyjazdu oraz złamany mostek. Zapłaciłem więc bardzo tanio za taki okres czasu w tym „sanatorium”.

Wobec niestosowania już rozstrzeliwań dziesięciu za jednego, a także i tego, że byłem pod przybranym nazwiskiem nie zostawiłem śladów do rodziny, idąc więc w tę *noc miałem sumienie czyste*.

W paru słowach jest trudno opisać piękno marszu tej pierwszej nocy i paru dni następnych. Dokonywaliśmy wyczynów, rekordów szybkości wbiegania na strome ściany wąwozów, spadania na łeb gdzieś w dół. Parę niezwykłych zbiegów okoliczności mieliśmy i tu z przemarszem przez most kolejowy i kluczem pasującym do przycumowanej łodzi. Przed wschodem słońca z odległości kilkuset kroków uderzył w nas swym aromatem i śpiewem ptaków las. Tu wreszcie czuliśmy się jak w domu. Las zakrył nas od wrogów, a soczysty mech tłumiał nasze kroki.

W nocy kierowałem się podług gwiazd, w dzień podług słońca. Miasteczko, gdzie miałem poleconych mi znajomych, odległe było o dziesiątki kilometrów, z których my — kołując i omijając osiedla — zrobiliśmy co najmniej sto trzydzieści. Po kłopotliwym przebrnięciu granicy „Gubernatorstwa”, w czym nam bardzo dopomógł gościnnie ksiądz

⁴⁰Jan Redzej — Jest w Warszawie i pracuje w P. Z. P. [przypis autorski]

⁴¹Edward Ciesielski — Jest w Warszawie i pracuje w P. Z. P. [przypis autorski]

proboszcz z Alwerni, i odpoczynku u poczciwego Piotra Mazurkiewicza w Tyńcu zagłębił się w lasy Puszczy Niepołomickiej. Dnia 1 maja po „przeprawie” w leśniczówce, gdzie zostałem lekko ranny w prawe ramię (przez Niemca „vorschutza”, który nieumiejętnie oddał do nas dziewięć strzałów), wieczorem byłem z kolegami u celu. Po spędzeniu paru dni w serdecznej atmosferze polskiego domu rodziny Oborów i małżonki Edwarda Zabawskiego, pani Heleny, prowadzony przez Leona Wandasiewicza poszedłem się zameldować tam, gdzie należało. Przyjaciel mój, Tomasz Serafiński meldował dalej. Lecz następny szczebel Wiatr — „Teodor”, po paru dniach ze strachem zjawił się u mego przyjaciela i oświadczył, że on ma dokładny plan Oświęcimia, a na planie on nie ma piekarni. Dotychczas z Oświęcimia uciekło w ogóle trzech... Tak więc: 1. To wszystko jest podejrzane. 2. Należy jak najszybciej zatrzeć ślady (przyjaciel mój nie mógł do niego zatrzeć śladów, bo go dobrze znał, ja do mego przyjaciela również, gdyż siedziałem w lagrze przeszło dwa lata i pół roku pod jego nazwiskiem). 3. W ogóle niech oni idą gdzieś dalej (przypuszczalnie na złamanie karku). Otóż i trafiłem na jednego z Napoleonów organizacyjnych, którzy, jak mówiono w lagrze, tak bardzo zajęci są (w myślach) braćmi w Oświęcimiu, zanim tam sami nie trafią. Znaleźliśmy jednak i bardzo serdecznych ludzi: poza rodziną Tomasza Serafińskiego korzystaliśmy również z „dachu” dzielnego i ofiarnego Polaka — Józefa Romana.

O mojej pracy w obozie oraz o projekcie opuszczenia obozu pisałem z lagru listy okólną drogą po polsku i drogą „urzędową” do pani Eleonory Ostrowskiej. Na wolności już się dowiedziałem, że listy te były przez panią Eleonorę Ostrowską skierowane do „Góry” przez „Skibę” — „Zamek”, obecnie „Klucz” — skąd odpowiedziano tylko: „listy bardzo nas interesują” i: „jeśli będzie, to prosimy o ciąg dalszy”. Uważali widocznie, że sprawę załatwili (urzędownie).

W październiku 1943 r., będąc już w Warszawie, otrzymałem oświadczenie Edwarda Ciesielskiego, który w Bochni spotkał zwolnionego z lagru w jesieni 1943 r. muzyka Antoniego Gargula (nr 5665), przy czym tenże oświadczył, że „po ucieczce trzech przez piekarnię żadnych represji w obozie nie było”.

Co znalazłem wśród ludzi po powrocie moim do życia, a co nazywałbym nawrotem do zmierzchu życia duchowego, poruszyłem w rozdziale następnym — IX. Tu krótko powiem tylko: miałem wrażenie, że zajrzałem nagle do pokoju dziecinnego, gdzie każdy był serio zajęty swoją zabawką.

A jednak! Dnia 10 maja 1944 r. w Warszawie na Marszałkowskiej w odległości kilku kroków spostrzegłem „Szczęściarza” (Aleksandra Bugajskiego), który z roześmianą miną zbliżył się do mnie i oświadczył, że nie wierzy, by mnie z lagru wypuścili. Wyraziłem te same wątpliwości w stosunku do jego osoby (powiedział mi, że uciekł z Ravensbrück).

Przez cały czas pobytu w lagrze — jak zresztą i przez całe moje życie przewijają się, same „zbiegi okoliczności”, jak mówią ludzie, których wiarę można zaopatrzyć w znak zapytania.

Wśród masy takich zbiegów okoliczności, jak w pierwszej fazie skrępowanie, które odczuwał wobec mnie „Krwawy Alojz”, który jakkolwiek nigdy ze mną nie rozmawiał, jednak doskonale zapamiętał mnie sobie, gdyż po szesnastu miesiącach, w lutym 1942 r., przy spotkaniu na korytarzu pewnego bloku — pomimo że przez jego krwawe ręce przewinęło się wiele tysięcy więźniów — zatrzymał mnie i ze zdziwieniem wykrzyknął: „*du lebst noch*”⁴². Była to pierwsza i ostatnia nasza rozmowa. Wkrótce przestał żyć. Przypadkowe wyratowanie mnie z koła powolnego konania na gimnastyce przez „Otto” fachowca od stawiania pieców kaflowych. Dezorientacja w stosunku do mojej osoby pewnego drania, Wilhelma Westrycha, który sądząc, że jestem ukrywającą się jakąś znaną osobistością pod fałszywym tu nazwiskiem, a chcąc mieć w przyszłości protekcję u takiej „znakomości” i pokrycie jego obecnych świństw „volksdeutscha”, ratował mnie od wykończenia się, dekując w warsztacie (zastrzelony pod Warszawą w 1943 r.). A potem w drugiej fazie — powodzenie i rozwój pracy, opanowanie przez nas sytuacji w obozie, szczęśliwe przejście przez zapalenie płuc i tyfus. Zachowanie się w stosunku do mnie lekarzy, Balkego i Konrada oraz paru blokowych. Wyrzucenie mnie z powodu wyglądu (inteligent) z dobrej pracy w garbarni — 2 lutego 1943 r. — co jednak od razu zrozumiałem jako

⁴²*du lebst noch* (niem.) — ty jeszcze żyjesz. [przypis edytorski]

korzystny „zbieg okoliczności” dla rozpoczęcia przygotowań do „wyjścia” z obozu i nie omyliłem się.

Wypadek, że wysłany z obozu Stefan Bielecki z meldunkiem i po wiadomości dla nas, nie mogąc dotrzeć do góry ani przesłać nam takowych, odwożony był do pracy w Mińsku Litewskim przez ppor. rez. Stanisława Wierzbickiego, któremu się zwierzył (Stanisławowi Wierzbickiemu), a który następnie mnie osobiście opowiedział o tym w obozie, gdyż został tam wkrótce przewieziony.

Wśród tego wszystkiego specjalnym zbiegiem okoliczności było to, że gdy w końcu 1941 r. zaczęto do lagru ściągać odpisy metryk urodzenia z parafii miejscowości podanych przez kolegów, zaczynając od pierwszych numerów więźniów (widocznie w poszukiwaniu takich ptaszków jak ja) i gdyby nie ucieczka, to byliby dotarli do mojego numeru, gdyż było nas już niewielu. Przy każdej wypłacie pieniędzy, po które w tym okresie musieli wszyscy się ustawić według numerów bez względu, czy się otrzymywało pieniądze czy nie, można było łatwo obliczyć, ilu na setkę jeszcze nas żyje. Widziało się od trzech, czterech do sześciu, najwyżej ośmiu kolegów żyjących z całej setki. Wtedy przesałem przez sierz. Antoniego Woźniaka wiadomość do pani Eleonory Ostrowskiej celem porozumienia się z parafią w Bochni i wyjaśnienia tam mojej sytuacji, gdyż do danych metrycznych — Tomasza Serafińskiego, pod którego nazwiskiem w obozie siedziałem, wprowadzone były niewielkie zmiany, a to na wypadek jeśli by autentycznego Tomasza Serafińskiego przywieziono do tego obozu. Obecnie więc należało prosić władze parafii w Bochni, by przy wysłaniu danych metrycznych w mojej sprawie napisane było tak, jak tu przeze mnie było podane w politycznym oddziale. Od pani Eleonory Ostrowskiej sprawa przeszła do Wawrzyńskiego. Ofiarny i dobry przyjaciel Warzyński po otrzymaniu listu polecającego od Palutyniego pojechał do Bochni i sprawę załatwił. Poczciwi ludzie dopisali ołówczkiem w księdze metrycznej do danych Tomasza Serafińskiego potrzebne zmiany w mojej sprawie. Warzyński mógł mi to osobiście opowiedzieć, gdyż wkrótce przywieziono go do obozu. Gdy od razu po wyjściu z lagru udałem się do Bochni, zrobiłem to tylko dlatego, że był to najbliższy punkt oparcia, gdyż mieszkała tam rodzina kolegi ppor. rez. Edmunda Zabawskiego, od którego do tej rodziny miałem polecenie. Będąc już wśród rodziny Zabawskiego, gdy zażądałem, by mnie skontaktowano z dowódcą miejscowej placówki, słuszenie chyba mogłem być dostatecznie zdziwiony i zaskoczony faktem, że dowódcą placówki okazał się właśnie akurat Tomasz Serafiński, którego nigdy przedtem w życiu nie widziałem, a który również nic nie wiedział, że pod jego nazwiskiem ktoś siedział przeszło dwa i pół roku w Oświęcimiu i dopiero zrobił wielkie oczy, gdy się znalazłem u niego w domu i o wszystkim mu opowiedziałem. Serdeczne ustosunkowanie się jego do mnie sprawiło, że staliśmy się przyjaciółmi od razu i wtedy zawiadomiłem parafię w Bochni, że dopisek ołówkowy należy gumką wytrzeć.

Sądzę więc, że nie tylko w powieści zbiegi okoliczności się zdarzają i że czytając o nich, nie zawsze można twierdzić, że takowe są tylko fantazją autora.

[Oświadczenia⁴³]

[Napisane przez Aleksandra Wielopolskiego:]

Ppor. rez. Karol Świętorzecki zgłosił się u mnie w Warszawie w drugiej połowie maja 1941 r., gdzie skontaktowałem go z 226, któremu przedstawił sprawę pracy w Oświęcimiu. Ja przywoziłem pierwsze wiadomości o Oświęcimiu, o których mówiłem służbowo z Tęczyńskim, 226 i z dr. Zakrzewskim (z Wawelskiej). Wiadomości te poszły za granicę służbową drogą. Prywatnie szczegółowo mówiłem z 225 i wiadomości te przesłano do Włoch drogą prywatną. Podpisuję się numerem „6”, wymieniony w kluczu. Warszawa, dnia 28 czerwca 1944 r.

[Napisane przez Stefana Bieleckiego:]

Otrzymawszy rozkaz od Witolda (Witold Pilecki) wydostałem się z Oświęcimia 16 maja 1942 r. — dotarłem do Warszawy 30 czerwca 1942 r., gdzie niezwłocznie złożyłem meldunek na piśmie na ręce 227, któremu osobiście zdawałem sprawę ze stanu pracy

⁴³ *Oświadczenia* — poniższe oświadczenia dotyczące składanych meldunków i raportów z pracy Organizacji Wojskowej w Oświęcimiu, jak zaświadcza w publikacji w „Biuletynie Towarzystwa Opieki nad Oświęcimiem” (1991/ z. 12) Adam Cyra, zostały napisane własnoręcznie na oryginale *Raportu W.* [przypis edytorski]

organizacyjnej w obozie. Według oświadczenia raport został przedłożony Komendantowi „Grotowi”. Ponieważ do początku 1943 r. nie wezwano mnie celem podania szczegółów pracy, które mogłem podać tylko ustnie, zwróciłem się za pośrednictwem „Skiby” do Komendy Głównej celem wyjaśnienia tej zwłoki. Otrzymałem odpowiedź, że raport dotarł i że w razie potrzeby zostaną wezwani. Podpisuję się numerem „41” zgodnie z kluczem. Warszawa, dnia 30 czerwca 1944 r.

[Napisane przez sierżanta Antoniego Woźniaka:]

Poleczone mi wiadomości przez Witolda co do pracy Oświęcimia przekazałem ustnie p. Eleonorze Ostrowskiej. Podpisuję się zgodnie z kluczem numerem „25”. Warszawa, dnia 2 lipca 1944 r.

[Napisane przez Aleksandra Palińskiego:]

Poleczone mi wiadomości przez Witolda o stanie i działalności na terenie Oświęcimia przedstawiłem ustnie p. Eleonorze Ostrowskiej. Podpisuję się zgodnie z kluczem „53”. Warszawa, dnia 2 lipca 1944 r.

[Napisane przez kpt. Ferdynanda Trojnickiego:]

Po przyjeździe do Warszawy zgłosiłem się w grudniu 1942 r. u 228, gdzie w obecności tegoż złożyłem meldunek ustny w sprawie pracy organizacyjnej w Oświęcimiu numerowi 229, który był mi przedstawiony przez 228 jako przedstawiciel Komendy Głównej. Na pytanie, czy mogę to złożyć drogą służbową na piśmie, zaznaczyłem, że ze względów zachowania najściślejszej tajemnicy mogę o tym mówić w razie żądania Komendantowi Głównemu, lecz tylko ustnie. Więcej w tej sprawie wzywany nie byłem. Zgodnie z kluczem podpisuję się tu numerem „24”. Warszawa, dnia 10 lipca 1944 r.

[Napisane przez Eleonorę Ostrowską:]

Otrzymałem o pracy organizacyjnej w Oświęcimiu od Witolda przez korespondencję legalną i nielegalną oraz ustne relacje przewożone przez kolegów, składałem na ręce „Skiby”. Wiadomości te drogą służbową szły do „Zamka” (obecnie 1 „Klucz”). W odpowiedziach służbowych stwierdzono zainteresowanie oraz wykorzystywanie wiadomości przesyłanych. Podpisuję się zgodnie z kluczem numer „5”. Warszawa, dnia 13 lipca 1944 r.

[Napisane przez „Skibę”:]

Wszelkie wiadomości otrzymywane w sprawie pracy organizacyjnej w Oświęcimiu przekazywałem 230. Podpisuję się zgodnie z kluczem „218”. Warszawa, dnia 15 lipca 1944 r.

[Napisane przez „Jeża”:]

„Raport W” i cała sprawa Oświęcimia i jest mi znana. Przez cały czas usiłowałem Witoldowi pomóc w przedłożeniu jej właściwym czynnikom i otrzymaniu miarodajnej, formalnej odpowiedzi — decyzji. O ile mi wiadomo — mimo wszelkich starań — Witold do tej pory odpowiedzi takiej nie otrzymał. Na żądanie mogę służyć w tej sprawie wszelkimi informacjami i komentarzami. (—) „Jeż”. Warszawa, dnia 18 lipca 1944 r.

[Napisane przez Witolda:]

Po wyjściu z Oświęcimia nie udałem się do rodziny, lecz siedziałem w pobliżu Krakowa, chcąc akcją zbrojną na Oświęcim doprowadzić do skutku. W tym celu montowałem oddział koło Bochni przy pomocy Tomasza Serafińskiego oraz 232. Jednocześnie usiłowałem porozumieć się z Władzami w Warszawie, chcąc mieć *placet* na akcję — przez korespondencję oraz ustnie przez ściągnięcie tu z Warszawy Stefana Bieleckiego. Ustosunkowanie się jednak władz naszych w Krakowie do sprawy i naświetlenie takowej przez „Wiatra” — „Teodora” spowodowało, że po trzech i pół miesięcznym oczekiwaniu koło Bochni na decyzję z Warszawy zdecydowałem się udać do Warszawy osobiście.

W Warszawie 23 października 1943 r. za pośrednictwem „Jeża”, uzyskałem kontakt z Zastępcą Szefa 233, któremu sprawę Oświęcimia zreferowałem. Następnie — 29 października 1943 r. — z polecenia tegoż Zastępcy Szefa 233, całą sprawę Oświęcimia, łącznie z planowaniem akcji zbrojnej na takowy, wszechstronnie omówiłem z oficerem operacyjnym 233 — pseudonim „Zygmunt”, „Wilk”. Od niego otrzymałem odpowiedź w tych słowach: „Po wojnie pokażę panu grube archiwum na temat Oświęcimia”. Gdy zaznaczyłem, że fakt istnienia tak grubego archiwum więźniom w Oświęcimiu wcale ulgi nie przynosi, „Zygmunt” — „Wilk” powiedział mi: „Mogę pana zapewnić, że z chwilą, gdy

Przywódca, Żołnierz

sprawa ta stanie się aktualna, zwrócimy się do pana”. Witold. Warszawa, dnia 20 lipca 1944 r.

Dnia 21 lipca 1944 r. rozmawiałem z Szefem 233, chcąc tą drogą przesłać Komendantowi AK mój raport. Szef 233 oświadczył mi, że „jest to niecelowe, gdyż Komendant Główny zna dokładnie sprawę Oświęcimia”, że Szef sam parokrotnie starał się w KWP sprawę akcji na Oświęcimie przeforsować, lecz że wszelkie wysiłki w kierunku otrzymania rozkazu na tę akcję zawiodły ze względu na trudność przeciwstawienia się w dyskusji nad projektem odbicia rzeczowych argumentów, na słuszne pytania jak przerzucić lub skąd wziąć siły na ten cel w pobliżu Oświęcimia i co zrobić z tymi tysiącami ludzi po odbiciu (kobiety, chorzy, niezdolni do marszów)”. Witold. Warszawa, dnia 22 lipca 1944 r.

Stwierdzam zgodność powyższych odpisów z oryginałami oświadczeń pisanych własnoręcznie przez ich autorów. Maria Szelańska. Warszawa, dnia 23 lipca 1944 r.

RAPORT „TEREN S”

Na tej osobnej kartce, która ma być ściśle zakonspirowana, chcę nadmienić o tym, co nie mogło być na razie ujrzeć światła dziennego, a mianowicie pracy w szpitalu lagrowym. Wszelkie usuwanie szpiegów, nasyłanych przez władze lagrowe, dokonywaliśmy przez kolegów naszych, którzy zajmowali stanowiska w szpitalu. Również przenoszenie pracowników naszej Organizacji dokonywaliśmy, korzystając z możliwości, jakie dawał szpital. Potrzebne to nam było dla wprowadzenia naszych ludzi do danego „komanda”, celem wzniesienia tam naszej pracy, jak również dla usunięcia sprzed nosa jakiegoś draniowi naszego kolegi, który mu już wpadł w oko i mógł być wykończony. W wypadku takim — porozumiewaliśmy się z kpt. dr. Władysławem Deringiem lub dr. Rudolfem Diemem i bywaliśmy informowani — kiedy „delikwent” — ma przyjść, żeby „zachorować”. Po chorobie szedł tam, gdzie nam był potrzebny, gdyż w tym czasie urabiało się sprawę przez „swego” arbeitsdiensta, a w poprzednim komando zapomniano o takim, wykreślano go z listy, bo właściwie szpital a śmierć to już było blisko jedno od drugiego. Tak więc w podobnych wypadkach, jak w pomocy przy sprzątnięciu szpiega, który coś wahał, szpital szedł nam bardzo na rękę i bez takowej pomocy — sprawa byłaby znacznie trudniejsza. Poza tym kpt. dr. Władysław Dering, robiąc tysiące operacji, nabrał takiej wprawy, że czasami prawie cudów dokonywał i był szczerze podziwiany przez lekarzy niemieckich, asystujących przy różnych zabiegach, gdyż też mógł wiele w szpitalu zrobić. Przyjmowanie drogą nielegalną kolegów naszych, stosowanie nieoficjalnie szczepionki tyfusowej, kombinowanej spoza lagru — miało miejsce w tysiącach wypadków. Tymi sposobami wyratowano wielu Polaków od śmierci. Jednego tylko dnia, a mianowicie w dniu wywożenia do gazu wszystkich z bloku 20., kpt. dr. Władysław Dering, który był przy lekarzach Niemcach, wyratował przeszło dwudziestu Polaków, których przebiegał w uniform pielęgniarzy i jako takowych prezentował Niemcom po jednym⁴⁴. Lecz żeby wejść w te możliwości rządzenia w szpitalu należało przedtem urobić lekarzy Niemców, zdobyć u nich zaufanie — co, z rozkazu, kpt. dr. Władysław Dering robił od roku 1940. Robiło się to w pierwszym roku w sposób prosty, robiący na Niemcach możliwie większe, a potrzebne dla nas wrażenie, dla więźniów zaś możliwie najmniej szkodliwy — przez głośne ruganie. Dlatego też niesłuszne zdanie o kpt. dr. Władysławie Deringu roznosiły niektóre płytkie umysły po lagrze lub po wyjściu na wolność tylko dlatego, że na nich głośno krzyczał lub wymyślał od „inteligentów”, tym bardziej że kolega w lagrze nieprzystosowany do życia, niezaradny, bardzo często niestety właśnie inteligent, tym większy egoista, im większa niezadara, był czasami naprawdę naszą zmorą. Nie odczuwając żadnej potrzeby pracy zespołowej i zrobienia czegoś dla kogoś, obłądnie przejęty wyłącznie chęcią ratowania tylko siebie potrafił inteligentnie wyrażać swoje oburzenie, jeśli ktoś nie o nim tylko musiał myśleć.

Czerwiec 1943 r. Witold.

⁴⁴po jednemu — dziś: po jednym. [przypis edytorski]

OŚWIADCZENIA

Stwierdzam, że prowadząc pracę konspiracyjno-wojskową (dywersja) na terenie obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu znałem dr Władysława Deringa jako jednego z pracowników wymienionej organizacji ze strony jak najlepszej. Dr Dering po wejściu do pierwszej „piątki” Organizacji Wojskowej w Oświęcimiu we wrześniu 1940 r. był przede mną tam zaprzysiężony i dostał rozkaz opanowania sytuacji w miejscowym szpitalu (*Krankenbau*).

Praca była trudna, którą jednak dr Dering wykonywał przez trzy lata bardzo dobrze i po opanowaniu sytuacji w szpitalu był jednym z filarów naszej Organizacji. Z konieczności na zewnątrz jednak musiał mieć sylwetkę, która mogłaby się nie podobać poszczególnym niewtajemniczonym w naszą pracę ludziom. Od roku 1942 dr Dering oraz drugi nasz pracownik dr Djem zwracali się do mnie w sprawie (ze względu na brzmienie ich nazwisk) parokrotnie proponowanego im przez władze niemieckie podpisania listy „volksdeutschów”. Organizacja nasza nie tolerowała tego rodzaju wyjścia z ciężkiej sytuacji, lecz tych dwóch Polaków, potrzebnych nam w przyszłości jako świadków bestialstw niemieckich oraz całości tego działu naszej pracy, w szpitalu należało uratować, a żadnej wątpliwości nie było, że lekarzy (świadków najrozmaitszych eksperymentów, o których ludzie na wolności, jak widzę, pojęcia nie mają) władze obozowe wykończą. Zrobiłem więc wyjątek i poleciłem obydwu wyżej wymienionym podpisać listy „volksdeutschów”. Parokrotnie jeszcze dr Dering i dr Diem zwracali się do mnie w tej sprawie, ociągając się z wykonaniem rozkazu ze względu na osobiste przekonania. Po opuszczeniu przeze mnie obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu w nocy z dnia 26 na 27 kwietnia 1943 r., dowiedziałem się, już na wolności, że listy przez wymienionych zostały podpisane i że widocznie na skutek tego dr Dering został przeniesiony z tego piekła do Stuttgartu.

Murnau, dnia 22 maja 1945 r.

(—) *Pilecki Witold (rtm)*

Jako najstarszy oficer AK w Murnau stwierdzam, iż w czasie konspiracji miałem wgląd w raporty wojskowe z obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Znane mi były stosunki w wymienionym obozie, zarządzenia i rozkazy rtm Pileckiego były akceptowane przez KG AK w Warszawie. Prawdomówność jego nie ulega żadnej wątpliwości.

Murnau, dnia 22 maja 1945 r.

(—) *ppłk Uszycki Jerzy*

Przebieg pracy konspiracyjnej w obozie Oświęcimskim jest mi znany i oświadczenia rtm. Pileckiego pokrywają się całkowicie z prawdą.

Murnau, dnia 22 maja 1945 r.

(—) *ppłk Pacek Franciszek*

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/pilecki-raport-w>

Tekst opracowany na podstawie: Witold Pilecki, Raport W, [w:] Raport Witolda, „Biuletyn Towarzystwa Opieki nad Oświęcimiem” 1991/ z. 12.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego. Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska. Publikacja była możliwa dzięki uprzejmości dr. Adama Cyry i Muzeum w Oświęcimi.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Paulina Choromańska.

ISBN 978-83-288-6892-2

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.